

Nr 3 (26)

2007



Zadanie dofinansowane
ze środków MKiDN
w ramach programu
operacyjnego
"Promocja czytelnictwa"

ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

**WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.**

Ireneusz Krzysztof Szmidt

PARĘ RZECZY DO WYJAŚNIENIA

Po prawie trzy i półrocznej kadencji władze ZLP wybrane 14 grudnia 2003 roku rozliczyły się przed XXIX Zjazdem Delegatów składając rutynowe sprawozdania i wyjaśnienia na temat bliski wszystkim pisarzom: kondycji pisarzy, organizacji pisarskich i literatury polskiej, w sytuacji gdy władze państwowe konsekwentnie z roku na rok, aż do zaniechania, zdejmowały z siebie obowiązki mecenasa tego najbardziej nerwralicznego instrumentu do stabilizacji duchowego życia narodu, jakim zawsze była literatura i jej twórcy. Ustupający prezes – Marek Wawrzekiewicz w swoim sprawozdaniu w imieniu także koleżanek i kolegów z Zarządu Głównego, szczególnie nacisk położył właśnie na słowie „wyjaśnienie”, ponieważ do Zarządu w czasie tej kadencji, jak nigdy dotąd w liczbie i treści wpływały pytania, które wprawiały ich w zdumienie i stykali się z problemami, których nie byli w mocy rozwiązać...

Trzeba zatem – z góry przepraszając dobrze zorientowanych – powiedzieć o rzeczach oczywistych, które, jak się okazuje, oczywiste nie są – o sytuacji, w której przychodzi działać naszej organizacji pisarskiej, sądzę zresztą, że już od jakiegoś czasu nie tylko naszej.

Nastał czas, że przestaliśmy wierzyć w skuteczność apeli, wezwań i protestów skierowanych do najwyższych władz – choćby one dotyczyły spraw najsluszniejszych, problemów najważniejszych dla polskiej kultury, choćby sprzeciwiały się najjaskrawszym i najbardziej absurdalnym decyzjom i sytuacjom. Obserwujemy skutki listów otwartych, protestów i apeli, których nadawcami są osobistości o wiele bardziej wpływowe i lepiej umocowane politycznie i wiemy, że są one zerowe. Nie możemy podjąć się opieki finansowej nad kolegami, którzy tej pomocy rzeczywiście potrzebują, nie stać nas na wykupywanie na cmentarzach miejsc ostatniego spoczynku naszych kolegów. Nie stać nas nawet na doraźną, kilkusetzłotową pomoc tym naszym członkom, którzy znaleźli się nagle w katastrofalnej sytuacji. Taka jest nasza codzienna rzeczywistość, taka jest sytuacja, w której działa Związek.

Prezes Marek w swym zjazdowym wystąpieniu przypomniał, że trzy i pół roku temu goszczący na XXVII Zjeździe ówczesny wiceminister kultury złożył obietnicę, że w najbliższej przyszłości zwiększy się pula na stypendia twórcze. Wiceministra już nie ma, a pieniędzy jeszcze nie ma. I nic nie wskazuje na to, że będą. Nasi kolejni przedstawiciele w komisji stypendialnej ministerstwa walczą nie tylko o większe pułki stypendialne, ale toczą też boje z przedstawicielami innych środowisk – boje o to, aby z tych żebraczych sum coś się dostało i naszym członkom. Niestety – bardzo często z mizernym skutkiem.

Podobnie ma się rzecz z różnego rodzaju nagrodami – poczynając od dorocznej nagrody MKiDN. Nasi reprezentanci natykają się na zorganizowany opór; bardzo często jest tak, że nie wartość dzieła czy dorobku decyduje o nagrodzie, ale pochodzenie. Tym razem pochodzenie organizacyjne.

Nasze stosunki z władzami są – łagodnie mówiąc – dość niejednoznaczne. Resort nie może demonstracyjnie i jawnie omijać Związku, ale też nie przytula go do serca. Prezes Związku od 4 grudnia ubiegłego roku ubiegał się wielokrotnie o audiencję u ministra – bez skutku. Ale nie zawsze tak było: kiedy ministrowi potrzebne było wsparcie Związku w sprawie zmian w Instytucie Książki, którego z pełnym przekonaniem udzielił, spotkanie odbyło się prawie natychmiast. Nowa dyrektor Instytutu rychło zapomniała o tym poparciu, co da się udowodnić na podstawie ilości i wysokości dotacji.

W odpowiedzi na gratulacje, jakie prezes złożył nowo wybranej prezydentce Warszawy, jej asystentka poprosiła go o dokładny scenariusz ewentualnego spotkania; następnie naszych przedstawicieli przyjął wiceprezydent, który na wstępie oświadczył, że kulturą się nie zajmuje... Zarządowi Głównemu pozostawała zatem katorżnicza współpraca z Biurem Kultury miasta. Jego dyrektorka – na szczęście już była – potrafiła powiedzieć na posiedzeniu komisji przydzielającej tzw. dotacje celowe, że Związkowi można ich nie przydzielić, bo pójdą one na komunistyczną imprezę. A chodzi tu o Warszawską Jesień Poezji, której organizacją jest w rękach naszego Związku od 36 lat. Ta impreza jest z pewnością największym festiwalem poetyckim w Europie. Niestety, z roku na rok ZG otrzymuje na nią coraz mniejsze fundusze – tak jakby i Warszawa i ministerstwo chciały doprowadzić do zgonu Jesieni. Poza tym, w ostatnich latach, odbywa się ona w warunkach niemal ciszy medialnej, mimo że co roku media otrzymują obszerny serwis informacyjny, druki okolicznościowe, kalendarium, itd. Niekiedy wzmianki o naszej flagowej imprezie ukazują się w telewizyjnej „3”, w Programie 2 PR i w „Trybunie”. To milczenie pozostałych jest fragmentem niepisanej, ale dającej się odczytać zasady: wszelkie przejawy naszych sukcesów i osiągnięć są w Warszawie starannie przemilczane – tak jakby nasza organizacja zrzeszająca ponad 1100 członków, w tym kilkuset o znaczących w życiu literackim nazwiskach, nie istniała. Ale niech się tylko pojawi pretekst do zaatakowania jej – zaraz się okazuje, że istniejemy. I to jeszcze jak! Istniejemy jako organizacja z nieprawego łoża, czyrak na dziewiczym ciele polskiej kultury. Bez nas, współczesna literatura polska osiągnęłaby pełnię...

A przecież poza nazwą obecny ZLP ma niewiele wspólnego ze związkiem działającym w okresie PRL-u. Inne jest jego usytuowanie wobec organów państwa, inne środki i możliwości. Jeśli dodamy do tego, że tylko bardzo niewielka część jego członków osiąga znaczący wpływ w działalności literackiej, że jedynie dla pojedynczych osób jest to podstawowe źródło dochodu, a większość z nas uprawia tę działalność na marginesie zwykłych zatrudnień zawodowych, bywa, dopłacając do publikacji – nietrudno i dostrzec, iż funkcje i sposoby działania organizacji musiały się zmienić. W porządku prawnym państwa jest to jedno z wielu stowarzyszeń zwyczajnych, bez szczególnych obowiązków i prerogatyw, nie mówiąc o uprawnieniach. Musi więc zastanawiać ten zniechęcający nas do twórczego życia brak, nie z naszej strony, platformy dialogu. Tym bardziej, że blokada rozciąga się – co gorsza – na książki naszych kolegów. Mamy prawo sądzić (ZG przeprowadził w tym względzie stosowne badania), że i książki nasze są regularnie pomijane przez recenzentów, że nie ma nas w programach radiowych, telewizyjnych – np. w kanale „Kultura”. Czy możemy na to coś poradzić w warunkach katastrofy systemu rozpowszechnienia książki, zaniku czasopiśmiennictwa kulturalnego, komercjalizacji kultury? Zapewne nie. Ale możemy przypominać o sobie, o naszej działalności, o naszych książkach w inny sposób. Jaki? Marek Wawrzekiewicz próbował w swoim sprawozdaniu znaleźć remedium, a może tylko placebo na chorobę, której wystawił taką jak wyżej diagnozę.

Nie musimy chyba przypominać, że wg naszego „mądrego” prawa związku i stowarzyszenia twórcze nie mogą otrzymywać dotacji na działalność statutową. Trzy lata temu w sprawozdaniu Zarządu Główn-

Ostatnia droga Bronisława Słomki

3 czerwca 2007 r. zmarł Bronisław Słomka, pisarz i dziennikarz, autor najlepszych książek prozatorskich wydanych w naszym regionie w dwóch przedostatnich dekadach XX w. Od 1969 r. był członkiem Związku Literatów Polskich. Pochowany został na cmentarzu w Barlinku, gdzie mieszkał. Pożegnaliśmy Go kwiatami i wspomnieniem wygłoszonym przez prezesa Oddziału – Ireneusza K. Szmida. Pozostawił co najmniej trzy niewydane powieści. Czynimy starania, by przy pomocy burmistrza Barlinka, wydać co najmniej jedną z nich.



Na łamach „Pegaza Lubuskiego” raz jeszcze żegnamy Bronisława Słomkę przypominając jego sylwetkę twórczą opracowaną przez Krystynę Kamińską do „Leksykonu twórców landsberskich i gorzowskich” oraz fragmentami jego wypowiedzi zapisanych w wywiadzie, jakiego udzielił Magdalenie Tomczak pt. „Niewykluczone, że nas wygwizdzą”, „Ziemia Gorzowska” 1987 nr 52.

Pisząc książki chcę sprawić czytelnikowi, który po nie sięgnie, być może trochę radości, być może trochę przyjemności, dać – być może – trochę powodu do refleksji nad samym sobą. Sprowokować do myślenia, choćby tylko przez chwilę, do zastanowienia się nad tym, jak rozumnie, mądrze, dobrze, nie robiąc krzywdy drugiemu człowiekowi, nie padając ani na pysk ze zmęczenia, ani na kolana ze strachu, umieć znaleźć się w tym pięknym, ale jednocześnie coraz trudniejszym, współczesnym świecie.

Powieść nie może być wiernym odzwierciedleniem rzeczywistości, ponieważ nie byłaby powieścią a reportażem. Autor ma prawo i obowiązek tak spojrzeć na rzeczywistość, tak ją opisać, aby stworzyć nową jakość, czyli nową rzeczywistość. Na tym, jak sądzę, polega sztuka pisania powieści. (...)

Zawsze wydawało mi się, że świat, który oglądam zasługuje na opisanie albo skomentowanie z punktu widzenia (chyba do dziś mi to pozostało) poety podpatrującego ludzi i zdarzenia przez jakieś szczególne pryzmaty, przez szkła, które pewne rzeczy przejawiają, zaś inne tonują tak, że zapis świata jest jakby nierealny. Taki zapis stanu ducha kogoś oglądającego albo przeżywającego świat zawsze wydawał mi się ciekawy. Pamiętam, że bardzo dawno, jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej, pisałem sobie takie nadrealistyczne opowiadanka. Może już wtedy był to realizm magiczny, ten mój sposób na przedstawianie rzeczywistości. Sposób, który lubię do dzisiaj.

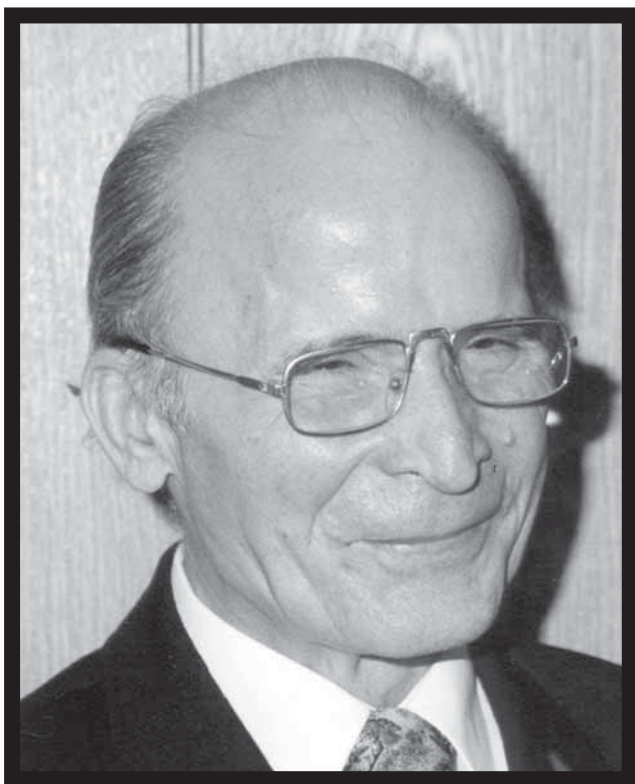
Opowiadam w książkach, co człowiek może zrobić ze swoimi marzeniami. Najważniejsze: nigdy nie powinien z nich rezygnować. Będzie ponosił klęski, bo świat jest dość brutalny i nie obchodzi go marzenia jakiegoś małego człowieka, ale jeżeli ten człowiek będzie bardzo chciał, to wszystkie trudności na swojej drodze pokona. Jeśli zrezygnujecie z marzeń, to znaczy, że wszystko przegraliście. (...) Miejcie zawsze do pomocy kogoś bliskiego w swoich marzeniach i pomagajcie innym marzyć.

Uważam, że miłość to najważniejsza sprawa w życiu każdego człowieka i całej ludzkości w ogóle. Mówię również o miłości jako ideologii, czyli sposobie na życie. Wydaje mi się, że nadszedł taki moment, kiedy człowiek dotarł nad brzeg przepaści i albo trwająca tysiąclecia cywilizacja wojen i nienawiści skończy się katastrofą, albo rozpocznie nowa cywilizacja – powszechnego szacunku i miłości. Miłości w tym bardzo szerokim znaczeniu: wzajemnego pogodzenia i poszanowania państw, narodów, ale także sąsiadów z tego samego bloku, z tej samej ulicy, także członków różnych partii, wyznawców różnych religii i ideologii. Doszliśmy wszyscy do takiego momentu, że musimy dokonać wyboru, a ten może oznaczać tylko jedno – miłość.

Mój debiut - opowiadanie „Zakochani z ulicy Kamiennej” to przecież ja i moja miłość albo może miłość takich jak ja wtedy dwudziestolatków, którzy widzą i odczuwają świat w sposób niezwykły i wydaje im się, że w sposób jedyny w swoim rodzaju. Wszystko jest wówczas zakochane: przedmioty wokół nich są zakochane, i drzewa, i cała ulica, i kot, który po niej chodzi, i niebo, i wszyscy ludzie. Ponieważ miłość wydawała mi się wówczas niezwykła, uznałem, że trzeba ją opisać i trzeba się tym przeżyciem podzielić z innymi. Dlatego napisałem i wysłałem „moje dzieło” do redakcji. Redakcja widocznie też uznała, że jest to zapis godny uwagi i wydrukowała „Zakochanych...”.

Moją bohaterkę Ulkę z „Mrówki” i „Talizmanu” lubię dlatego, że potrafi bezgranicznie zaangażować się w uczucia, choć nie zawsze bywa z powodu tego zaangażowania szczęśliwa. Ale tak pięknie, tak po ludzku potrafi przeżywać miłość, tęsknotę, zazdrość. Lubię ją także dlatego, że posiadając tę umiejętność bezgranicznego angażowania się w uczucia, potrafi znaleźć się rozumnie wtedy i tam, gdzie rozum jest potrzebny. A więc lubię ją za jej rozum, jej miłość, za to, że jest właśnie taka kobieca i taka mądra jednocześnie. To mój ideał kobiety.

oprac. K. K.



Bronisław Słomka urodził się 1 IX 1937 r. w Nowym Targu. W 1959 r. debiutował opowiadaniem pt. „Zakochani z ulicy Kamiennej” na łamach „Gazety Spółdzielczej”. Od 1976 r. pracował jako dziennikarz najpierw w pismach szczecińskich – „Głos Szczeciński” i „Morze i Ziemia”, potem w „Ziemi Gorzowskiej”: od 1981 jako sekretarz redakcji a od 1986 do 1989 jako redaktor naczelny. Kolejną jego redakcją była „Gazeta Lubuska”, gdzie od 2000 do 2004 r. był kierownikiem oddziału w Barlinku. Następnie wrócił do Szczecina, do redakcji „Kurieru Szczecińskiego”. Przez 9 lat w latach 90. XX w. był prezesem Stowarzyszenia Literackiego „PROM” w Gorzowie Wlkp. i redaktorem naczelnym polsko-niemieckiego pisma literackiego „Prom/ Die Fähre”.

Był członkiem Związku Literatów Polskich od 1969 r. Mieszkał w Barlinku.

Wydął książki:

- „Karuzela” – powieść, Poznań 1969
- „Trzy kroki do nieba” – powieść, Poznań 1973
- „Guliwer” – powieść, Poznań 1975
- „Cygan na ślepych koniu” – opowiadania, Poznań 1976
- „Mrówka” – powieść, Szczecin 1980
- „Talizman” – powieść, Szczecin 1987
- „Woźnica z ptakiem na ramieniu” – proza poetycka, Gorzów 1995

Jest autorem słuchowisk wyemitowanych w Polskim Radiu, obok tytułu miejsce i rok emisji:

- „Złoty zegar”, Szczecin 1963
- „Ten, który przyszedł”, Szczecin 1964
- „Tylko na, panie kapitanie”, Szczecin 1965
- „Babcia”, Zielona Góra, 1979

Na podstawie słuchowiska „Ten, który przyszedł” w 1982 r. powstał film telewizyjny w reżyserii Jana Chodkiewicza z udziałem Franciszka Trzeciaka i Zygmunta Malanowskiego.

Jego utwory tłumaczono na niemiecki, rosyjski i łotewski. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Wojewody Gorzowskiego.

Bronisław Słomka przez całe zawodowe życie związany był z dziennikarstwem w jego formule podstawowej: pracował w terenie, rozmawiał z ludźmi, gromadził informacje, pisał reportaże. Ten rodzaj pracy dawał mu okazję do poznania wielu ludzi, do wniknięcia w ich kłopoty i radości, rozczarowania i marzenia. Jego znakomite reportaże rozsiane są po szpaltach starych gazet szczecińskich i lubuskich, ale ważniejsze, że zgromadzone do nich materiały stały się podstawą książek Bronisława Słomki. W książkach tych realny świat małych miasteczek zachodniej Polski ma wymiar baśniowy, bo jak powiedział: *Zawsze wydawało mi się, że świat, który oglądam zasługuje na opisanie albo skomentowanie z punktu widzenia poety podpatrującego ludzi i zdarzenia przez jakieś szczególne pryzmaty, przez szkła, które pewne rzeczy przezjaskrawiają, zaś inne tonują tak, że zapis świata jest jakby nierealny* (Magdalena Tomczak, „Niewykluczone, że nas wygwizdzą”, „Ziemia Gorzowska” 1987, nr 52).

Wszystko, co surowe, realistyczne, zwykłe i powszednie, Bronisław Słomka przenosi w sferę poetycką. Czasami wyraża się to w żartobliwym uwzniośleniu obrazu, czasem przydaniu mu groteski, stworzeniu aury baśniowości, ale zawsze świat w jego książkach jest jasny i pogodny, nawet mimo rozlicznych nieszczęść, jakie spotykają bohaterów. Ten sposób pisania Czesław Markiewicz przyrównuje do tzw. realizmu magicznego charakterystycznego dla prozy iberoamerykańskiej („Pro Libris” 2006, nr 2). Zdaniem krytyka Bronisław Słomka stworzył polską odmianę takiego realizmu. *Motywacje i działania nadrealistyczne, wizja dosyć Chagallowata* – skwitował krótko ten sposób pisania Piotr Kuncewicz w „Leksykonie polskich pisarzy współczesnych”, s. 231.

„Mrówka” uważana za najlepszą powieść Słomki dzieje się w późnych latach siedemdziesiątych w podobnej, półrealnej, półpoetyckiej scenerii wsi, którą pożera pobliska fabryka. Bohaterka, tytułowa Mrówka, przedziera się przez życie, a choć otacza ją rzeczywistość degradująca jej świat, ona sama jest pełna poezji. Kontynuacją „Mrówki” i dziejów tej samej bohaterki jest „Talizman”, z akcją w 1981 roku. Głównym tematem staje się konflikt Mrówki-Urszuli z mężem, działaczem „Solidarności” w przededniu wprowadzenia stanu wojennego. Konflikt racji politycznych nakłada się tu na opozycję realizmu i poetyckości. Dla Włodzimierza Maciąga w książkach Słomki najważniejsza jest *aura narracyjna, która nie powtarza ani Redlińskiego, ani Trziszki, ani Pilota, ani Drzeżdżona. Jest inna, własna, trochę dziecięca, ale równocześnie ostra w sprawach erotyki, więc jakby młodzieńcza. Jest to styl własny Słomki, wyraźnie odczuwany jako wartość sympatyczna* („Ziemia Gorzowska” 1980, nr 48).

Krystyna Kamińska

W cyklu „Przypomnienia literackie” Czesław Markiewicz przywołuje „Mrówkę” Bronisława Słomki, prozaika z Barlinka, członka gorzowskiego oddziału ZLP. Pisze na początku artykułu: *Książkę podpisano do druku w ostatnim dniu czerwca 1980 r. Do czytelników trafiła więc prawdopodobnie niemal dokładnie z „sierpniowym wybuchem”. (...) Owa data 1980 r. była dla „Mrówki” BARDZO NIEDOBRA WRÓŻBA, skazującą powieść na czytelnicy niebyt. W dalszym ciągu wywodu wysoko ocenia walory literackie „Mrówki” sytuując ją wśród najlepszych powieści realizmu magicznego, kilkakrotnie porównując do powieści G.G. Marqueza. Bardzo ciekawy i ważny szkic.*

Pro Libris 2006 nr 2(15)

Leszek Żuliński

Mój Piotr

Piotr Kuncewicz nie żyje. Nasz Piotr Kuncewicz. Mój. Ode mnie odszedł jakby dał dziwny znak. Właśnie w ostatni wtorkowy wieczór, kiedy już Wielkanoc wychodziła za próg domu, wysyłałem pocztą elektroniczną swoje „Czarne dziury” do tego numeru „Aneksu” i niemal w tej samej chwili zadzwonił Przemek Szubartowicz z tą smutną wiadomością. Siadam więc znowu do pisania. Choć ono będzie się wlokło niezdarnym konduktem liter...

Piotra poznałem w drugiej połowie lat 70. dobre trzy dekady temu, w Krajowej Agencji Wydawniczej, gdzie wpadał do swego przyjaciela, prozaika Andrzeja Gerłowskiego, po którym ja przejąłem Redakcję Poezji i Krytyki Literackiej, w której Piotr wydał książkę „W poszukiwaniu niecodziennosci” (1979). Był to zbiór felietonów literackich i recenzji – bardzo wnikliwych, dogłębnych, choć raczej niepozornie wydanych. To były lata świetności Piotra, wkroczył w najlepszy okres swojej twórczości; dwa lata wcześniej wydał szkice *Cień ręki* (1977), które otworzyły trzy najlepsze dekady jego pisarstwa. Miewał się także świetnie – bachicznie i hedonistycznie, jak przystało na szczerego *bon vivanta*. I to wtedy zaczął być „postacią telewizyjną” – pokazywał się na ekranie bardzo często, był ekspertem od spraw literatury, kultury, obyczajów i ...kuchni. Sarmatą na etacie. Ale jak czytałem! Dlatego, mimo iż miał wtedy sylwetkę imię Zagłoby, ogląda i upodobaniami bardziej przypominał markiza Anthelme’a Brillat-Savarina.

Piotr urodził się w Warszawie jako syn inżyniera i lekarki. Był siostrzeńcem Jerzego Kuncewicza, męża sławnej autorki sławnej *Cudzoziemki*. W 1952 roku zaczął studiować polonistykę na KUL-u i już w rok potem debiutował w „Tygodniku Powszechnym” jako autor tekściku o Gałczyńskim. Do Warszawy przybył w roku 1956 już jako magister, został nawet zatrudniony na stołecznej polonistyce i rychło wysłany jako lektor polskiego do Strasburga. Wrócił po roku. W roku 1961 otrzymał na UW doktorat, który zdobył dzięki rozprawce o Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej i dzięki któremu został zatrudniony w Instytucie Badań Literackich. To wtedy właśnie rozkwitała popaździernikowa odwilż kulturalna, powstawała nowa poezja, proza i prasa literacka... Piotr trafił na łamy „Współczesności” i „Nowej Kultury”; jego teksty zaczęły też „emigrować” do prasy pozawarszawskiej. Wiele z nich poświęcił mającej się wówczas znakomicie Orientacji Poetyckiej Hybrydy; przylgnęła do niego nawet etykieta „krytyka towarzyszącego”, co było czymś niesłychanie pozytywnym; trzeba przyznać, że Kuncewicz i Andrzej K. Waśkiewicz szczególnie wiele zrobili dla tej wspaniałej formacji artystycznej. Piotr miał zwyczaj na lata całe wiązać się z poetami, których lubił; niektórzy byli blisko, na co dzień, jak Grochowiak, inni dalej, jak np. Jan Górec-Rosiński. To właśnie Grochowiakowi poświęcił osobną książeczkę, która wyszła w 1976 roku w „Czytelniku”.

Piotr pełnił wiele ciekawych ról, dzisiaj mniej pamiętanych. Był np. opiekunem literackim teatrów w Kaliszu i Bydgoszczy, wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, prowadził rubrykę kulinarną w piśmie „Pani”, był poczytnym autorem felietonów „Wieczory z Patarafką” w „Przeglądzie Tygodniowym”. W 1990 roku został prezesem ZG ZLP i przez kilka kadencji pełnił tę funkcję; do końca bywał na naszych zebraniach już jako prezes hono-



wy. Z biegiem lat przybywało mu zaszczytnych nagród i wysokich odznaczeń, ale w tę wyliczankę niechaj się bawią oficjalni biografowie.

Związkowemu prezesowaniu Kuncewicza muszę poświęcić tu osobny akapit. Przypadło ono na trudne czasy wiecznie zaognionego rozbratu ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich. Oraz na trudne czasy podupadania naszych stowarzyszeń w rankingach „godności społecznej”. Przyszły chude czasy na chudych literatów. Piotr stosował tylko jedną taktikę – taktikę wyciągniętej ręki. Po dzień dzisiejszy jest ona odrzucana, ale – moim zdaniem – nie poszła na marne. W czasach rosnących podziałów, zaognień, narastającej agresji politycznej Kuncewicz z podziwu godną konsekwencją trwał w swoim „świeckim ekumenizmie”.

Unikał konfliktu, konfrontacji i rozwiązań „nakazowych”. Sam wielokrotnie zarzucałem mu patologiczny brak asertywności, ale on nic sobie z tego nie robił i trwał w doktrynie dobroduszości. Umieliśmy to, mimo wszystko, docenić, a teraz, po jego odejściu, być może postawa Piotra będzie jakimś przesłaniem i drogowskazem. Bowiem bezcenny jest przykład tego, który w czasach burzy sieje spokój i uśmiech.

Mało kto dziś pamięta, że pierwsza publikacja książkowa (a w zasadzie broszurowa) Kuncewicza była poświęcona Jasnorzewskiej (1963). Ale już w dwa lata potem wydał książkę pt. „Poetyka powieści produkcyjnej”, a w 1967 roku wyszli jego „Samotni wobec historii” – szkice poświęcone m.in. Szekspirowi, Camusowi, Gide’owi, Faulknerowi, ale i polskim autorom, takim jak Bryll, Harasymowicz, Parnicki, Różewicz, Słucki... W latach 1967-1972 Kuncewicz wydał trzy prozy – „Szumy”, „Dęby kapitolinckie” i „Zamieć” – ale prozaikiem był takim mniej więcej jak Sandauer, tzn. świetnym, lecz nie sięgającym krytyka. Bardziej byłbym skłonny uznać w Piotrze poetę. Tak, poetą był bez wątpienia. Pisał wiersze od zawsze i od zawsze ich nie wydawał. Ale mieliśmy w ZLP zdumiewający wieczór poetycki Piotra w ubiegłym roku, gdy obchodził swoje 70-lecie. Przeczytał kilka długich tekstów fascynujących, bo wnikających narkotycznie w jakąś filozoficzną baśń o Praprzyczynie; tekstów erudycyjnie zatapiających się w mitologii, archetypach kulturowych, przesłaniach, których idea było dotarcie do rdzenia prawdy o prapoczątku, rozwoju i ostatecznym zwieńczeniu bytu. Język tej poezji był nietypowy, zupełnie stroniący od współczesnego, nawiązujący do koturnowej mowy antycznej, sakralnej, patetycznej, która chce przemawiać językiem wielkiego ponadczasowego przesłania. Zupełnie niedzisiejsza poezja i zupełnie natchniona. Nie wiadomo, na ile jeszcze możliwa w przestrzeni współczesnych komunikatów.

Ale z tej dziwnej, chowanej po szufladach poezji wyszedł Piotr najwłaściwszy: stary, klasyczny humanista, sięgający w swych kulturowych rozważaniach do rudymetów antyku i aksjologii śródziemnomorskiej.

To się tak wyraziście objawiło po raz pierwszy w „Antyku zmęczonej Europy”, książce z 1982 roku. To tam Piotr chciał określić rudymenty naszej kultury, fundamenty, na których stoimy do dzisiaj. Opisać nasz dom i naszą drogę przez wieki, nasz dzień powszedni i nasze odwieczne świętowanie; tu właśnie, w tej książce po raz

pierwszy tak wnikliwie dotarł do jądra wspólnoty kulturowej naszego kręgu. Wtedy zapewne nie wiedział, że zrobi się z tego tryptyk. Rok 2000: „Gój patrzy na Żyda. Dzieje braterstwa i nienawiści od Abrahama po współczesność”. Rok 2005: „Legenda Europy”. Te dwa wielkie eseje dopowiadały ów tryptyk o wspólnocie. Bolesnej i fenomenalnej. Pogmatwanej i kreatywnej. Źródłowej i wiecznie otwartej. Stąd jesteśmy. Z tego wspólnego domu i z tego rozdartego domu. Z tego samego Mitu, o którego niuanse i odcienie zabijaliśmy się. I nadal jesteśmy gotowi się zabijać.

Niebawem, po ukazaniu się „Legendy Europy”, zrobiłem z Piotrem wywiad dla magazynu „Ambasador”, w którym dopytywałem się, rzecz jasna, o tę jego ostatnią książkę. M.in. powiedział: „Moja Europa to nie tyle jakiś obszar, geograficzna kraina, co model świadomości społecznej. Innymi słowy, Europa to samoświadomość jej mieszkańców. Model zrodzony dawno temu i podległy zmianom historycznym. (...) Dobrem wspólnym Europy stały się trzy legendarne wyroki sądowe odnoszące się do Sokratesa, Jezusa i Joanny d'Arc. Podobnie na jej kulturze, obyczajach i historii zaważyły wielkie archetypy literackie: Don Kichota, Hamleta, Fausta i Don Juana. Dobrem wspólnym są także sztuki plastyczne, jedyna na całym świecie muzyka i wiele innych. Istotą rzeczy jest pojęcie udziału poszczególnych narodów w owych wspólnych dobrach i związane z tym poczucie odpowiedzialności za wszystko złe i dobre, jakie się w Europie dokonało. Europejczyk jest dzieckiem zarówno Sokratesa jak i Hitlera, próżno temu zaprzeczać. (...) Europa była retortą, w której pomieszały się bardzo różne składniki. Być może właśnie dlatego w Europie zaczęła się nowa era świata, nowożytność. Na złe czy na dobre, myślę, że raczej na dobre. I to było wielkie przesłanie dane całemu światu, rzeczywista misja Europy, z której możemy być dumni. Mam nadzieję, że po jakimś czasie cały świat stanie się naszą ojczyzną. Ale to będzie dopiero pojutrze. Przedtem, jutro, Europa będzie po prostu wielkim krajem, rywalizującym z innymi kolosami, o ile naturalnie uda się wygasic małostkowe waśnie, rozjątrzone nacjonalizmy, absurdalne niechęci wzajemne, rażące dysproporcje rozwojowe. To jest splot czynników gospodarczych, prawnych, kulturalnych, ale nade wszystko moralnych. Jak to napisał Wyspiański: «wielu już mogli mieć, ino oni nie chcą chcieć». Może już dzisiaj nadszedł moment, w którym «zechcieliśmy chcieć».

Ja w każdym razie zechciałem i dlatego napisałem książkę o patriotyzmie europejskim. Nie będzie go bez wzajemnego porozumienia, a porozumienie jest niemożliwe bez wspólnego fundamentu, mitologii, legendy. Było takie chińskie powiedzenie o stu kwiatach: otóż potrzeba nam dzisiaj sto tysięcy kwiatów, aby rozkwitła cała łąka. Chciałbym być jedną z roślin na tej europejskiej, a kiedyś światowej łące. I jeszcze jedno: «Legenda» powstała z autentycznej wściekłości na polityków i działaczy mojego kraju, którzy, znowu wedle Wyspiańskiego, «widzą jeno pchły». A może i wedle bajki Kryłowa o gościu ogrodu zoologicznego, który opisał różne ptaszki i myszki, ale słonia nie zauważył!

Ta wypowiedź Kuncewicza świadczy jak wysoką miał świadomość podejmowanych przez siebie tematów i problemów i jaką wagę do nich przywiązywał.

Ciekawe, jak wiele „wymiarów i kalibrów” tworzyło Piotra Kuncewicza... On – kulturoznawca i erudyta; on – kucharz i entuzjasta wiedzy ezoterycznej; on – kociarz nad kociarzami i „ateistyczny teista” drukujący swoje teksty w „Czwartym wymiarze”... Książka „Nowa era dinozaurów. New Age” (1994) odsłaniała entuzjazm Piotra wobec „nowej duchowości”. I wierę w Nową Epokę. On wierzył w renesans Człowieka wynikający z odrzucenia „zmęczonych twórcydeł intelektualnych” i przełamania szablonów myślowych. Był metafizykiem i – być może – nawet umiarkowanym mistykiem. Kilka lat temu wiozłem go samochodem do Bydgoszczy, gdzie nie tylko braliśmy wielokrotnie udział w pracach kapituły Nagrody im.

Klemensa Janickiego, ale dokąd wtedy jechaliśmy na promocję książki Górecy-Rosińskiego, w której mieliśmy – On i ja – osobne posłowania. Całą, tak całą drogę Piotr odpowiadał mi na jedno, jedyne pytanie, jakie mu zadałem: – Czy istnieje życie pozagrobowe? On nie tylko twierdził, że istnieje, on wiedział, dlaczego i „jak to się dzieje”... I jego wykład odliczał mi uciekające kilometry.

To prawdopodobnie ta nieszablonowość i otwartość Piotra pchnęła go w stronę masonerii. Był przecież, jak wiemy, nie tylko jej członkiem, ale w listopadzie 2004 został wybrany Wielkim Mistrzem Wielkiego Wschodu Polski. W czerwcu 2006 w wywiadzie udzielonym Zofii Warzyńskiej-Bartczak dla „Aorta Magazine” m.in. powiedział: „(...) wolnomularstwo wcale nie tak daleko odbiega od wskazań ewangelicznych i – na dobrą sprawę – mogłoby być prezentowane jako forma chrześcijaństwa, a nawet katolicyzmu. A jednak, Kościół naprawdę różni się w sposób dość istotny od wolnomularstwa. Wolnomularstwo wspiera się na hasłach: «wolność, równość, braterstwo». To jest fundament. Kościół ma podobne, a jednak – bardzo niepodobne zasady. Jeśli wolnomularstwo mówi «wolność», to Kościół mówi «posłuszeństwo», jeśli wolnomularstwo mówi «równość», to Kościół mówi «hierarchia» i hierarchię praktykuje. Zostało «braterstwo». Braterstwo jest chyba najważniejszą cechą zarówno Kościoła, jak i wolnego mularstwa. I tu, znowu, powinno dojść do zbliżenia, gdyby nie to, że człowiek jest, jaki jest: nie tylko ksiądz, nie tylko mason, ale po prostu każdy człowiek. Gdybyśmy wszyscy byli rzeczywiście braćmi, gdybyśmy praktykowali braterstwo, nie mielibyśmy strategicznych przeciwników”. W tym ostatnim zdaniu krył się cały Piotr i ten jego „laicki ekumenizm”, o którym już wspominałem. Owo *fraternité* stało chyba u szczytu Jego wizji światowego ładu i humanizmu. A przecież *liberté, égalité, fraternité* stanęło u progu nowożytnej rewolucji. Tak, Piotr był wnukiem Woltera.

Zmierzając ku końcowi, muszę przypomnieć rolę, z jakiej Kuncewicz był publicznie chyba najbardziej znany. Znany jako historyk literatury i leksykonograf. Idzie mi, rzecz jasna, o jego pięciotomową „Agonię i nadzieję” obejmującą literaturę polską od 1918 do lat 90. XX wieku (na jej kanwie wyszły następnie, przypomnijmy, dwa tomy „Leksykonu polskich pisarzy współczesnych”). To było dzieło bez precedensu i Piotrowe *opus vitae*. Nikt przed i po Piotrze nie odważył się porwać na taki szmat literatury *in statu nascendi*. Autor nie przeląkł się też specyficznie prywatnej konwencji tego wielkiego opisu; w zasadzie wywiad zamienił na gawędę i anegdotę, a jednak poważny wymiar tego wykładu nie został zakwestionowany i z biegiem czasu będzie stanowić coraz bardziej bezcenne świadectwo literackiej epoki. Kuncewicz – Brillat-Savarin literatury polskiej XX wieku!

W cytowanym już moim wywiadzie z Piotrem Kuncewiczem zadałem mu także pytanie o następną książkę. Odpowiedział mi: „Chciałem napisać książkę o najdawniejszych dziejach człowieka. Ale zrezygnowałem z tego tematu, ponieważ nowe badania rozwijają się tak błyskawicznie, że wszystko, co miałbym do powiedzenia na ten temat, byłoby już za kilka lat tylko staroświeckim głędzeniem. Mógłbym wrócić do moich pierwszych miłości: poezji i matematyki. Ale brak mi stosownego talentu. Na razie piszę nową wersję Fausta. To bardzo introspekcyjna powieść, niemal esej o mojej epoce, diable, starości i śmierci. A potem, jeśli zdążę, chciałbym sformułować moje dość osobliwe poglądy filozoficzne. Jest to teoria antykwantytatywna, jakościowa, a nie ilościowa, spreczna z Demokrytem. Co z tego w rzeczywistości wyjdzie – zobaczymy”.

Co z tego wyjdzie, Piotrze?

W Twoim komputerze został ów napoczęty tekst o Fauście – esej powieściowy albo powieść eseistyczna (?) przeplatana wątkami autobiograficznymi i fikcją literacką. Nie dokończyłeś tego tekstu. Ale nie martw się. Piszemy go także my, przyjaciele z Twojej formacji. Damy Ci do sprawdzenia jak przyjdzie pora.



26-27 maja 2007 r. odbył się w Domu Literatury w Warszawie XXIX Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich, podczas którego uchwalono nowy statut Związku oraz wybrano nowe władze: Zarząd Główny, Komisję Rewizyjną oraz Główny Sąd Koleżeński.

Prezesem Zarządu Głównego wybrano ponownie Marka Wawrzkiwicza.

Delegatami Oddziału Gorzowskiego na Zjazd byli:

1. Barbara Trawińska
2. Marek Grewling
3. Tadeusz Szyfer

W Zjeździe uczestniczył także Ireneusz K. Szmidt - prezes Oddziału gorzowskiego i członek ustępującego Zarządu Głównego ZLP.

Zjazd uchwalił kilka deklaracji w sprawach najistotniejszych dla polskiej kultury i literatury. Uznano, że jednym z najważniejszych problemów jest kwestia młodej literatury i sposobów jej promowania.

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich

Marek WAWRZKIEWICZ – prezes Zarządu Głównego

Jacek KAJTOCH – wiceprezes

Wacław SADKOWSKI – wiceprezes

Andrzej ZANIEWSKI – wiceprezes

Grzegorz WIŚNIEWSKI – sekretarz

Stanisław NYCZAJ – zastępca sekretarza

Leszek ŻULIŃSKI – skarbnik

Ryszard ULICKI – zastępca skarbnika

Andrzej K. WAŚKIEWICZ – przew. Komisji Kwalifikacyjnej

Krzysztof GAŚSIOROWSKI – członek Zarządu

Stefan JURKOWSKI – członek Zarządu

oraz prezesi Oddziałów Związku Literatów Polskich:

1. Jan LEOŃCZUK (Białystok)
2. Dariusz LEBIODA (Bydgoszcz)
3. Teresa KACZOROWSKA (Ciechanów)
4. Kazimierz RADOWICZ (Gdańsk)
5. Ireneusz Krzysztof SZMIDT (Gorzów Wlkp.)
6. Marcin HAŁAŚ (Katowice)
7. Stanisław NYCZAJ (Kielce)
8. Ludmiła JANUSEWICZ (Koszalin)
9. Szczęśny WROŃSKI (Kraków)
10. Urszula GIERSON (Lublin) –
11. Anna KIESEWETTER (Łódź)
12. Józef Jacek ROJEK (Olsztyn)
13. Kazimierz KOWALSKI (pełn. obow. – Opole)
14. Wojciech ŁĘCKI (Płock)
15. Zbigniew GORDZIEJ (Poznań)
16. Marcei KOSMAN (Oddział Wielkopolski – Poznań)
17. Jadwiga GÓŹDŹ (Radom)
18. Wiesław ZIELIŃSKI (Rzeszów)
19. Wiesław CIESIELSKI (Słupsk)
20. Józef GAWŁOWICZ (Szczecin)
21. Andrzej BARTYŃSKI (Wrocław)
22. Eugeniusz KURZAWA (Zielona Góra)

Marek Wawrzkiwicz

Marek Wawrzkiwicz (ur. 1937 r.) - poeta, dziennikarz, tłumacz, animator kultury, absolwent Wydziału Historii na Uniwersytecie Łódzkim. Jest dziennikarzem, który od prawie 40 lat publikuje artykuły poruszające tematykę kulturalną. Był korespondentem prasowym w Moskwie, redaktorem naczelnym miesięczników „Nowy Wyraz”, „Poezja” oraz tygodnika „Kobieta i Życie”. W 1960 roku zadebiutował tomem wierszy – „Malowanie na piasku”. Dziś ma w swoim dorobku twórczym ponad 30 książek - tomów wierszy, szkiców, powieści, antologii. Do ważnych tomów wierszy można zaliczyć m.in.: „Późne popołudnie” (2001), „Kaźda rzeka nazywa się Styks” (2003), „Eliada i inne wiersze” (2003), „Smutna pogoda”, a ostatnio, w 2005 roku, zbiór wierszy poruszających uniwersalne problemy współczesnego humanizmu - „Coraz cieńsza nić” oraz „Dwanaście listów” - tomik apokryficznych tekstów o miłości, śmierci i przemijaniu. Obydwa te wybitne wydania są ukoronowaniem twórczości poety.

Włada doskonale kilkoma językami, jest przy tym znakomitym tłumaczem z języków słowiańskich, a przede wszystkim poezji rosyjskiej - wydał m.in. antologię „Pamięć. Poeci St. Petersburga”. Jest animatorem kultury wielce zasłużonym dla Mazowsza, współpracującym z wieloma ośrodkami kulturalnymi naszego regionu, w których prowadzi m.in. warsztaty literackie oraz seminaria dla młodzieży. Znany również jako organizator Warszawskiej Jesieni Poezji. Od 2000 roku piastuje funkcję prezesa Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, a od 2003 roku również Zarządu Głównego.

Uhonorowany wieloma nagrodami literackimi - ostatnio srebrnym medalem Gloria Artis (2006).

Sesja naukowa Związku Literatów Polskich

W dniach 26 – 27 maja 2007 r. w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu 87/89 odbyła się towarzysząca zjazdowi sesja naukowa Związku Literatów Polskich.

W trakcie sesji zostały zaprezentowane następujące referaty:

„Literatura na Mazowszu” – J. Z. Brudnicki

„Poezja – krytyka literacka” – L. Żuliński

„Proza – krytyka literacka” – L. Bugajski

„Sytuacja zawodowa pisarza” – A. K. Waśkiewicz

Nasz portal

Od niedawna, pod dwoma adresami, działa bardzo interesująco redagowany oficjalny internetowy portal ZLP

www.literatura.waw.pl

www.literaci.eu

Zachęcamy do jego systematycznego odwiedzania, gdyż często jest aktualizowany i można przegapić czasem bardzo interesujące teksty. Redakcja zaprasza wszystkich pisarzy do współpracy.



ciąg dalszy ze str. 1

nego słyszeliśmy, a zostało to również zapisane, że m. in. „Pieniądzy jest coraz mniej, bariery biurokratyczne rosną niebotycznie, działalność Związku nie może być dotowana przez państwo, a tzw. dotacje celowe są coraz skąpiej przydzielane”. Tak było i niestety, tak pozostało. Zawiodła formacja lewicowa rządzącej państwem ale następna też nie dawała nadziei, że wpłynie na polepszenie naszej pisarskiej kondycji i sytuacji Związku. I nie myliliśmy się. W nadziei, że znajdą wsparcie od luminarzy rozwijającej się gospodarki rynkowej, prezes i ludzie z ZG odpowiedzialni za marketing organizacji co roku występują z żebrazymi pismami do około 30 wielkich firm prosząc o dofinansowanie różnych kulturotwórczych inicjatyw. Otrzymują cztery lub pięć odpowiedzi zdecydowanie odmownych, dwie lub trzy budzące nadzieje – reszta jest milczeniem...

Delegaci musieli przełknąć niejedną gorzką pigułkę „wyjaśnień” ustępującego prezesa. Wiele z nich dotyczyło spraw wewnętrznych w rodzinie Związku. Na Zjeździe było ich wiele. Tym razem nawet Główny Sąd Koleżeński stanął na cenzurowanym. Za błędy proceduralne w osądzeniu konfliktu w Oddziale Krakowskim Zjazd nie przyjął jego sprawozdania...

Powiedzmy sobie w tym miejscu przykrą prawdę. Jesteśmy organizacją starzejącą się, w dużej mierze emerycką, z czego wynikają następne trudności: nasi młodszy członkowie pilnując miejsc swojej pracy nie mają czasu na fanaberie w postaci działalności społecznej. Cały więc ciężar pracy organizacyjnej spada na barki garstki zapaleńców. A z własnej praktyki prezesa Oddziału w Gorzowie, zapewniam kolegów, że niewiele z tego korzyści i zaszczytów, natomiast wiele czasu straconego dla rodziny i własnej twórczości. Ale przecież Związek istnieje i istnieć będzie, bo taka jest wola jego członków. Nie wynika to z interesowności, bo wszyscy wiemy, że korzyści z tej przynależności są znikome. Może jednak łączy nas potrzeba bycia razem, poczucie wspólnoty, przywiązanie do naszej tradycji i zwyczajne, ludzkie przyjaźnie.

Na XXIX Zjeździe zastanawialiśmy się w dyskusji nad „wyjaśnieniami” prezesa i w rozmowach kulturalowych jak działać w tych niedobrych, niekorzystnych dla kultury, dla literatury, dla polskiej książki warunkach. Zgadaliśmy się solidarnie, że muszą to być działania nowe. Skierowane na dobro polskiej literatury współczesnej, a jednocześnie takie, które umacniałyby rangę naszej organizacji pisarskiej – wbrew wszystkim i wszystkiemu. Podjęty został wywołany w wystąpieniu prezesa Marka problem młodzieży literackiej, którą powinniśmy otoczyć opieką, przysposobić do przejęcia kierowniczych ról w organizacji, która nie może się odwdziżyć nawet prestiżem polityczno-społecznym. Było kilka wystąpień, które napawały nadzieją. Młody pisarz z Wrocławia deklarował pomoc w działaniach marketingowych przy zdobywaniu środków na szczytne cele organizacji. Nie przez wszystkich został dobrze zrozumiany. Jeden z nestorów uparcie powracał do idei powołania i siłczkowej pracy u podstaw... Jak więc to robić? Jak uaktywnić tych wszystkich kolegów, którzy chcą być czynni w ZLP? To pytanie adresowane do Zjazdu, muszą podjąć nowe władze z tym samym prezesem, któremu przedłużono zaufanie na następną kadencję.

Mógłby im pomóc nowoczesny system informacji, który jest zupełnie w naszym kraju niedostępny. Nas też do tej pory nie było stać na własne, od lat postulowane czasopismo. Na Zjeździe, poetka Aldona Borowicz, fanka Internetu ogłosiła publicznie powstanie oficjalnego portalu ZLP: www.literatura.waw.pl. Forma zastępcza czasopisma? Niech będzie. Sprawdziłem - już działa i jest profesjonalnie prowadzony pod kierunkiem Miłosa Kamila Monasterskiego. Nowy prezes też widzi w nim szansę skupienia wokół redakcji aktywnej młodzieży literackiej, a do wszystkich zaapelował o nadsyłanie ważnych i aktualnych informacji. Wreszcie coś o sobie będziemy wiedzieć. A myślę że jest nawet wiele działań w Warszawie i poza nią którymi możemy się pochwalić.

W minionej kadencji ZG odbyły się trzy kolejne edycje Warszawskiej Jesieni Poezji. Brało w niej udział każdorazowo ponad 100 poetów z tym 30 – 40 poetów zagranicznych z prawie 30 krajów i trzech kontynentów. Gośćmi honorowymi były kolejno: Rosja, Litwa i Hiszpania. Odwiedzają nas coraz wybitniejsi poeci zagraniczni i na ogół wyjeżdżają z przeświadczeniem, że Polska jest wymarzoną krajem dla poezji i poetów. Sprawiają to koncerty, wieczory galowe w prestiżowych placówkach, wystawy, biesiady poetyckie, noce poezji, a przede wszystkim spotkania autorskie i lekcje poetyckie – w dobrze przygotowanych i zainteresowanych szkołach i placówkach stolicy i Mazowsza. Co roku odbywa się przeszło 250 takich imprez; wymaga

to wielkiego wysiłku organizacyjnego i ciężkiej pracy. Po Jesieniach zostają książki: obszerne antologie poetów – uczestników WJP (sam w ostatnich trzech dostąpiłem zaszczytu druku). Po ostatniej – piękny album fotograficzno-poetycki. Dzięki tej imprezie w prasie zagranicznej ukazują się bardzo pochlebne opinie i wiersze polskie przełożone na kilka języków. Warszawskie Jesienie Poezji są imprezami, które dobrze promują współczesną twórczość, budują prestiż i znaczenie Związku. Zawsze zamiarem organizatorów było uczynienie z nich święta całej polskiej poezji i dlatego zapraszają do udziału w WJP także kolegów nie zrzeszonych i członków SPP.

Podobnym celem popularyzacji poezji polskiej i jej zagranicznej promocji służy poznański Listopad Poetycki organizowany siłami Oddziału Poznańskiego. Po odejściu z jego Zarządu Nikosa Chadziniolau nowy prezes, Zbigniew Gordziej, zapowiada przywrócenie świetności tej imprezie, która przed laty była czynnikiem łączącym nasze środowisko.

Sławne tradycje Kłodzkiej Wiosny Poetyckiej wskrzesił Oddział Dolnośląski organizując już trzykrotnie w Polanicy Zdroju festiwal „Poeci bez granic”. Jest to przykład nie tylko dobrej, cechującej się przyjacielską atmosferą imprezy – jest to również dowód, że można owocnie i pożytecznie współpracować z lokalnymi władzami.

ZG nie ma większych – poza patronatem honorowym – zasług w powodzeniu, jakim cieszy się Jesień Literacka Pogorza. Chwali się jednak udziałem w tej imprezie oraz jej zasięgiem i rozmachem. Ona również ma charakter międzynarodowy.

Oddział Rzeszowski ZLP po raz czwarty organizuje sesję „Literatura kresów. Polska – Słowacja – Ukraina”. Impreza ta mogłaby odgrywać wielką rolę w zbliżeniu kulturalnym naszych sąsiadujących narodów, dysponuje jednak bardzo niewielkimi środkami i z niepojętym dla nas powodów nie jest wspierana przez Ministerstwo KiDN.

Podobnie miała się rzecz z bardzo poważnym przedsięwzięciem – cyklem imprez pod nazwą Europejska Unia Literatur; odbyło się dotąd 12 budzących duże zainteresowanie spotkań poświęconych literaturze obcej i ich związkom z naszą literaturą. Niestety, w następnych latach nie uzyskaliśmy środków na kontynuację cyklu, co wobec naszego członkostwa w UE jest czymś zadziwiającym...

W czerwcu 2005 roku odbył się w DPT w Oborach plener poetycko-malarski Polska – Litwa z udziałem 22 uczestników. Powstało tam przeszło 40 obrazów i kilkadziesiąt literackich przekładów. Również w Oborach odbyły się dwa polsko-rosyjskie seminaria literackie. Za każdym razem brało w nich udział po 15 pisarzy rosyjskich i polskich. Wygłoszono kilkadziesiąt referatów, odbyły się gorące dyskusje. Plony tych stojących na bardzo wysokim poziomie spotkań były publikowane w czasopiśmie polskich i rosyjskich.

Współpraca międzynarodowa prowadzona przez nasz Związek jest niestety uzależniona od dotacji ministerialnych. Są one minimalne i rzadko przydzielane, toteż na nieliczne wyjazdy zagraniczne musimy zdobywać środki z innych źródeł, co też tylko niekiedy się udaje. W minionej kadencji podpisane zostały umowy o współpracy ze związkami pisarzy Litwy, Chin, Wietnamu, oraz ze Stowarzyszeniem Autorów Lubeki. Współpracą z ZLP zainteresowani są Serbowie, Bułgarzy, Rosjanie, Czesi i Słowacy. Tutaj staramy się jednak zachować daleko posuniętą ostrożność, a nasze umowy są bardziej wyrażeniem intencji niż zobowiązaniami. Ostrożność wynika z doświadczenia: na zasadzie pełnej wzajemności miała być wydana antologia współczesnej poezji litewskiej i chińskiej, a także mała antologia poetów z Lubeki. Niestety, Instytut Książki dwukrotnie odmówił przyznania dotacji na te pozycje. Partnerzy czekają na materiały polskie, a nam wstyd je wysłać, bez pewności, czy będzie możliwy rewanż. Odwiedzają Dom Literatury – oficjalnie i półoficjalnie – liczni pisarze zagraniczni, a w ZG można ich przyjąć co najwyżej kawą i ciasteczkami zakupionymi z prywatnych kieszeni pracowników i członków prezydium. ZLP jest członkiem międzynarodowego kongresu pisarzy i zalega ze składką wynoszącą 1000 euro rocznie. Nie muszę chyba przekonywać nikogo, że są to fakty w najwyższym stopniu zawstydzające.

Mimo wszystko – żyjemy. Nasze władze związkowe nadrabiają miną i udają, że wiedzie się nam nieźle. Na różne sposoby starają się pokazać, że Związek istnieje. Nasi koledzy występując na różnych forach zawsze podkreślają swoją przynależność, a wystąpienia ich nie przynoszą Związkowi wstydu.

Siedmiokrotnie uczestniczyliśmy jako Związek w Międzynarodowych i Krajowych Targach Książki. Na stoisku ZLP promowane są nasze wydawnictwa i książki. Finansowe rezultaty są nikłe, ale ważny jest fakt zaistnienia Związku na tym forum.

dokończenie na str. 8

ciąg dalszy ze str. 7

Trudności są coraz większe, ale mimo to w ostatnich latach nasi koledy stali się beneficjentami poważnych nagród, także Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Nagrody im. Norwida, czy Nagrody im. Reymonta.

Miło mi również wspomnieć, że w minionej kadencji kilkunastu pisarzy z naszego kręgu zostało na wniosek ZG udekorowanych wysokimi – od Krzyża Komandorskiego OOP poczynając – odznaczeniami państwowymi (mnie przypadł zaszczytny Krzyż Oficerski Polonia Restituta), a kilku medalami Gloria Artis.

W roku 2005 została ustanowiona nagroda imienia wielkiego pisarza polskiego, naszego długoletniego prezesa Jarosława Iwaszkiewicza. Otrzymali ją kolejno: w kategorii „Dzieło życia” jeden z naszych nestorów Julian Kawalec oraz Edward Redliński, a za zasługi w upowszechnianiu literatury współczesnej Jan Rodzeń – kierownik Klubu Księgarza w Warszawie i Adam Marszałek – szef i właściciel wydawnictwa z Torunia.

XXIX Zjazd Związku Literatów Polskich był szczególnie ważny z wielu powodów. W ogniu ostrej dyskusji został uchwalony Statut ZLP. Ten stary w wielu punktach nie przystawał do naszych czasów – stąd propozycje zmian – między innymi podyktowanych względami oszczędnościowymi. Nie przeszła próba zmiany ilości delegatów na Zjazd w stosunku do liczby członków oddziałów terenowych w stosunku 1:10. Delegaci zgodzili się z argumentacją A. Zaniewskiego, kontrkandydata w wyborach prezesa i moją, opartą na potrzebie szerszego uczestnictwa członków w decyzjach zapadających centralnie.

Próbowaliśmy sobie odpowiedzieć na kilka fundamentalnych pytań, takich jak: czy nasz model organizacyjny, metody działań, nasze propozycje programowe odpowiadają aktualnym potrzebom Związku i potrzebom polskiej literatury; w jaki sposób działać, aby wzrastał prestiż Związku; jak możemy przyczynić się do tego, aby polska literatura współczesna znowu trafiła do szerokiego odbioru społecznego; jak odmłodzić naszą organizację i jak przygotować tych, którzy w niedługim czasie powinni w niej odgrywać główne role i jak zdobywać środki na istnienie i działanie Związku.

Oczywiście – nikt nie oczekiwał, że nagle urodzą się pomysły, które na skrzydłach Pegaza uniosą nas do związkowego nieba. Ale przynajmniej mogliśmy wskazać główne kierunki i metody działania. I powiedzieć sobie, że jest to zadanie domowe, które musimy odrobić wszyscy i to jak najszybciej.

Tak więc mimo wszystkich trudności udało się jednak wiele dobrze zrobić, choć prawdopodobnie można było więcej. Wiele było porażek, trzeba było zrezygnować z wielu planów i zamiarów, poddać się finansowej mizerii i przeciwieństwu losu.

Jesteśmy skupieni w 23 oddziałach terenowych – poczynając od liczącego 315 osób Oddziału Warszawskiego, aż do 6. osobowego oddziału w Radomiu. W czasie mijającej kadencji powstały dwa nowe oddziały – jeden bezkonfliktowo, drugi w wyniku poważnego konfliktu.

Ten pierwszy to nasz Oddział ZLP w Gorzowie Wlkp. Powstał z przyczyn organizacyjnych: z powodu utrudnionej komunikacji z macierzystym wówczas O. Zielonogórskim (dzieliło nas 100 km) nie mogliśmy brać czynnego udziału w jego pracach.

Drugi, z powodu votum separaturnego 14 kolegów z Oddziału Poznańskiego, którzy uznali, że jego ówczesny Zarząd wykluczył ich z życia związkowego. Na skutek tego, że nie mogą i nie chcą dojść do porozumienia ze swoimi władzami, Zarząd Główny postawiony przed alternatywą opuszczenia przez nich Związku, podjął na ich wniosek decyzję o powołaniu Oddziału Wielkopolskiego ZLP.

Ale to są – były – jak już wspominałem sprawy *pro domo sua*. O tej sprawie wspominam, bo został przywołany fakt powstania w Gorzowie zorganizowanego środowiska literackiego. Na szczęście nie grozi nam na razie żaden konflikt a i z władzami miasta, tudzież mediami, mamy relacje inne niż nasze centralne władze

Jesteśmy dziś organizacją wielopoglądową, skupiającą ludzi różnych zapatrywań oraz orientacji ideowych i politycznych. Mamy prawo do posiadania swoich poglądów i głoszenia ich publicznie. Nie mamy jednak przy tym prawa posługiwać się szyldem ZLP, a Związek nie może być forum politycznych debat, miejscem propagandowych akcji – wszystko jedno jakim znakiem politycznym są oznaczone. Sądzę, że udało nam się zachować apolityczność, uniknąć tarć i sporów na tym tle i jestem przekonany, że tak powinno zostać.

Ireneusz Krzysztof Szmidt

Byłam delegatem

Lubię podróże, zwłaszcza do ciekawych miast, w góry czy nad morze. W Polsce, zaliczam do nich Kraków, Warszawę, Zakopane czy Międzyzdroje i oczywiście mój ukochany Wrocław.

Dlatego ucieszyła mnie perspektywa wyjazdu do Warszawy w najbliższym czasie, bo ostatnio rzadko tam bywałam i to na krótko. Jako delegat na Zjazd Literatów jechałam po raz pierwszy, aby wybrać nowe władze centralne i zatwierdzić projekt nowego statutu. Wyjazd zawdzięczam Irkowi, który odstąpił mi swój mandat wyborczy, a sam brał udział tylko jako uczestnik Zjazdu bez prawa głosu i dlatego mogę o tym napisać.

Gdy Gorzów odzyskał bezpośrednie połączenie z Warszawą pociągiem pospiesznym, podróż jest komfortowa, nie licząc 7 godzin jazdy, ale wszystko ma swoje złe i dobre strony. Zależy to od okoliczności, czyli pory roku, tłoku czy towarzystwa w przedziale. Tak się złożyło, że wypadło na maj, do tego piękna pogoda, choć może zbyt ciepła, ale było luźno i miłe towarzystwo, więc podróż minęła stosunkowo szybko i przyjemnie.

Zauroczona widokiem za oknem pociągu, nie miałam nawet ochoty na rozwiązywanie krzyżówek ani na czytanie książki. Kocham zieleń, a tej nie brakowało na trasie, która biegła spory kawałek wzdłuż rzeki Warty, były więc soczyste łąki, ozimina i gdzieś tam zaczynające kwitnąć na żółto rzepak, jakieś małe strumyki, no i oczywiście małe i duże osiedla ludzkie. Od wejścia Polski do UE wiele się zmieniło na korzyść i można to obserwować szczególnie na wsiach polskich i w małych miasteczkach, gdzie było mniej do zrobienia niż w dużych miastach, bo to wymaga więcej czasu i nakładu pieniędzy. Dlatego, zarówno w Warszawie, jak i w Gorzowie, wiele rozkopów na ulicach.

Nie wspominałam jeszcze o lasach, których nie brakowało po drodze, a rozstawiły się po obu stronach torów kolejowych niczym szpalery honorowe witające podróżnych z bliska i z daleka. Były to przeważnie lasy iglaste, z przewagą sosen, które tak bardzo upiększają polski krajobraz różnorodnością kształtów i gatunków, że nie sposób ich nie pokochać. Ale muszę ze smutkiem przyznać, że bocianów widziałam mniej niż w przeszłych latach.

Do Warszawy zjechałam późnym popołudniem, zmęczona długą podróżą i upałem ale ze względu na widoki, mogłabym jeszcze dalej podróżować. Okazało się, że zmęczenie podróży to nic w porównaniu z komunikacją w stolicy, w godzinach szczytu.

Do kuzynki na Pragę zwykle jadę około 30 minut, a tym razem ponad godzinę, zatrzymując się co chwilę w „korkach”, a do tego słońce przez szyby piekło niemiłosiernie. Upały znoszę bardzo źle, dlatego przyrzekłam sobie nigdy więcej tu nie przyjeżdżać, ale nazajutrz zmieniłam zdanie, bo jak tu nie kochać Warszawy.

Po serdecznym przywitaniu z Danusią, mimo zmęczenia, nie mogłam sobie odmówić milej pogawędki i późnym wieczorem obie padłyśmy w ramiona Morfeusza. Rano rześka i wypoczęta, obmyślałam plan wędrowki po Warszawie, zanim zaczną dokuczać upały.

Po śniadaniu, zaopatrzona w wodę mineralną i kanapkę, już o godzinie 9 byłam na Krakowskim Przedmieściu w Domu Literatury w sprawie noclegu i dowiedziałam się, że będą to Obory pod Warszawą, ale to dopiero w sobotę, po pierwszym dniu Zjazdu. Wołałabym w stolicy, w ten sposób będę miała okazję poznać ośrodek twórczy literatów.

Wyruszyłam w kierunku przystanku „A” do Wilanowa, a tu widzę, że zmierza w moją stronę znajomy redaktor i poeta oraz krytyk w jednej osobie, ale tak zamysłony, że się nie kłania, mimo sygnałów ode mnie. Powiedział, że o tej porze jeszcze śpi jego koncentracja i nie poznał mnie w letniej kreacji, a widzieliśmy się zimą. U kobiety byłoby to nie do pomyślenia i to jeden z dowodów na różnicę płci.

W dobrym nastroju dojechałam do Wilanowa i wkrótce stałam już przed dawną rezydencją króla Jana III Sobieskiego, wcześniej hetmana koronnego. Nie byłam tu prawie 20 lat i wiele w tym czasie się zmieniło, choćby drzewa bardzo urosły, no i wypiękniało.

Odreštaurowano barokową fasadę pałacu, którego frontowa część tworzy swoiste półkole i można podziwiać płaskorzeźby, które opowiadają wojenne i dworskie historie tamtych chlubnych lat dzielnego

na Zjazd Literatów...

króla, który wślawił się zwycięstwem nad Turkami pod Wiedniem i nie tylko. Z ciekawości zadartą głową oglądałam z zachwytem to wszystko, okrążając ogromny kolisty klomb, obok którego zajeżdżały kiedyś pod pałac bogate powozy i karety, wioząc szlachtę i magnatów polskich.

Ze względu na upał i brak czasu postanowiłam nie zwiedzać komnat królewskich, lecz przechadzać się po przyległych ogrodach, również w stylu barokowym i romantycznym. Tam była woda, a pożądany cień dawały stare i piękne drzewa oraz wysoko strzyżony żywopłot.

Spacerując po alejkach, podziwiałam mityczne rzeźby i przenosiłam się myślami w przeszłość, ale to wszystko zakłócał przeprowadzany obok generalny remont.

Z żalem żegnałam Wilanów, aby w drodze powrotnej zatrzymać się w kolejnych królewskich ogrodach, czyli w Parku Łazienkowskim z pałacem i pomnikiem Chopina.

Wkrótce witaly mnie tam krzykliwe pawie, które nawoływały samiczki. Siadłam w cieniu, *vis a vis* niebosiężnego buka, któremu wichura połamała ogromne konary, i zamyśliłam się nad siłą natury, dla której człowiek czy nawet pięćdziesięciometrowe drzewo to igraszka.

Ta ogromna przestrzeń, wypełniona świeżą, dopiero wiosenną zielenią, z dała od zgiełku ulicy, tworzyła swoistą oazę piękna i spokoju, a mnie pozwoliła zapomnieć o wczorajszej męczącej podróży i upale. Pożałowałam niebacznie wypowiedzianych słów, że nie przyjadę więcej do Warszawy, bo jakże jej nie kochać! Pożegnawszy Chopina, udałam się na przystanek, by wrócić do centrum i zwiedzić jeszcze trochę Warszawy.

Przez Plac Zamkowy szłam wolno, z historycznym zamiśleniem i z podziwem spoglądałam na kolumnę króla Zygmunta, domyślając się, co też sobie myśli o nas Polakach, a potem małymi uliczkami doszłam do Starego Miasta, gdzie kiedyś można było podziwiać obrazy i kolorowe grafiki studentów sprzedających swe prace, a teraz kapitalizm wypełnił plac kawiarnianymi ogródkami.

W drodze powrotnej zwiedziłam kilka starych kościołów, w tym Katedrę św. Jana i poczyniłam trochę zakupów, starając się być w domu wcześniej niż wczoraj i w ten sposób zdążyłam przed burzą. Trwała dość krótko, a powietrze po niej pachniało i nie sposób było się oprzeć, aby nie posiedzieć pod gwiazdami w ogrodzie i nie pogawędzić do późnego wieczora.

Tak minął drugi dzień podróży do Warszawy, czyli piątek, a w sobotę o 11 miał rozpocząć się Zjazd. Zasnęłam, ogromnie ciekawa jutra.

Rano gorączkowo pakowałam porozkładane rzeczy i przedmioty, bo nie miałam tu wrócić. Następny nocleg czekał mnie już w Oborach pod Warszawą, w ośrodku pracy twórczej i wypoczynku literatów.

Na miejscu Zjazdu, w Domu Literatury, od rana było już tłoczno i gwarno, bo prawie wszyscy znali się od dawna i witali się serdecznie, jak to Polacy. Będąc pierwszy raz, spotkałam również wielu znanych pisarzy, znanych w przeszłości z różnych sympozjów albo spotkań warsztatowych organizowanych w różnych częściach kraju.

Około 200. delegatów potwierdziło swó jprzyjazd i sala obrad, po prostu „pękała w szwach”, a do tego afrykański upał.

Powołano osoby do stołu prezydalnego, wybrano Komisję Wyborczą i Zjazd rozpoczął ustępujący prezes ZG ZLP, Marek Wawrzkiwicz, witalając uczestników serdecznie i czytając sprawozdanie z minionej kadencji. Dowiedzieliśmy się, że kiedyś były większe nakłady na kulturę, a obecnie przy większej ilości członków ZLP nie można sprostać potrzebom, a co dopiero ambicjom. Powszechny brak pieniędzy po złej działalności finansowej poprzednich rządów jest sprawą przykrą i dotkliwą dla Polaków.

Kiedy przystąpiono do debaty nad poprawkami i zatwierdzeniem nowego statutu ZLP, posiedzenie zaczęło przypominać znajomy obraz z Sejmu RP, najpierw obecnego, a w miarę upływu czasu była to powtórka sejmików szlacheckich, bo tak często padało „veto”, że istniała obawa niezmiśnienia się w harmonogramie Zjazdu. Najwięcej zastrzeżeń mieli delegaci z dawnej stolicy Polski, czyli z Krakowa, ale zamieszanie i nerwowy nastrój nad głosowaniem poprawek do statutu zmagiał się na całej sali do tego stopnia, że potrzebna stała się interwencja autorytetu, którym okazał się przewodniczący Związku i uczynił

to w doskonałym stylu. Około godz. 20, po kolacji odbyła się sesja krytyczno-literacka. Dokończenie sprawy statutu przełożono na dzień następny, bez pewności na szybkie porozumienie.

Z uwagi na stosunkowo późny przyjazd do Ośrodka Pracy Twórczej w Oborach, zmęczenie obradami i dokuczliwym upałem, nie było czasu na wspólne „Polaków rozmowy”, może tylko gdzieś w pokojach. Miałam ten komfort, że byłam sama w apartamencie z łazienką i marzyłam tylko o prysznicu i spaniu, dlatego wczesnym rankiem, bo zaraz po 6 obudziłam się wypoczęta. Ubrałam się i po wypiciu herbaty rozpoczęłam zwiedzanie przyległych ogrodów, a było co oglądać i podziwiać, choć bez porównania z tymi w Warszawie, mimo że historia spletała się pokrewieństwem.

Rosa była jeszcze na trawie i nie odmówiłam sobie przyjemności chodzenia po niej boso, a co to za rozkosz wie tylko ten, kto sam tego spróbował. W ogromnym parku, rosnącym prawie na „dziko”, kwitły akurat rododendrony w różnych odcieniach czerwieni, rosły tam również 300-letnie lipy, które do objęcia pni potrzebowałyby kilku osób. Z pobliskiego akwenu, zielonego od gęstych glonów, dochodziło rechotanie żab, które tak rzadko można już gdziekolwiek usłyszeć.

Byłam oczarowana ciszą i romantycznym otoczeniem, ale powoli zaczęli pojawiać się również ciekawscy ludzie jak ja i robiliśmy pamiątkowe zdjęcia w parku oraz na tle zabudowań. Był to murowany dwór barokowy z XVII w. z przyległościami, własność J. Nowopolskiego, ówczesnego kanclerza koronnego króla Jana III Sobieskiego, ożenionego z siostrą Marysieńki, żony króla. Obie pochodzenia francuskiego, stąd można tłumaczyć nazwę Obory, tzn. okolice, przyległość.

Frontowy widok dworku prezentował się okazałe z typowym podjazdem dla dawnych powozów i karet, a obecnie samochodów oraz pieszych. Dworek został przebudowany przez H. Marconiego w XIX w. i nawet dobudowano kaplicę, na której do dziś widnieje islamski symbol półksiężycy. Wewnątrz na ścianach wisi mnóstwo portretów po byłych właścicielach oraz ich potomkach, w strojach rycerskich i dworskich. Komnaty mówią o dawnym przepychu pomieszczeń, w których kolejni właściciele zmieniali upodobania, zgodnie z panującą modą.

Style nakładają się ze smakiem, począwszy od baroku a skończywszy na secesji i można podziwiać ciekawe portale, marmurowe kominiki, kryształowe żyrandole oraz oryginalne stare dębowe meble. Wyróżnia się tylko kiczowato urządzona alkowa w nowoczesnym stylu, ale to inny temat.

Po nieuczciwie przeprowadzonej prywatyzacji w minionym czasie, dworek jest chyba własnością gminy, rząd już nie sponsoruje pobytu twórców literatury, tylko czyni to okolicznościowo, jak właśnie dla nas obecnie. Kapitalizm sam musi na siebie zarabiać, dlatego wynajmuje się pomieszczenia na uroczystości rodzinne, jak wesela, komunie itp.

Po śniadaniu z żalem opuszczaliśmy słynne kiedyś Obory i wróciliśmy do Warszawy na zakończenie Zjazdu. Całe szczęście, że uczestnicy się opamiętali i szybko odbyło się zatwierdzenie statutu. Nastąpiło potem coś w rodzaju „Hyde parku” i wtedy niektóre Oddziały ZLP zaczęły publicznie opowiadać swoje problemy i bolączki, można było się nasłuchać wiele nieprzyjemnych rzeczy o nieuczciwych ludziach. Było to odzwierciedlenie sytuacji, jaka ogólnie panuje w naszym kraju, czyli wiele mactwa, kłamstwa, oszustwa i żerowania na innych, to co widać i słycać w Sejmie oraz w TV.

Na szczęście, nie wszyscy pragnęli dzielić się podobnymi problemami i przystąpiono do ostatniej już części Zjazdu, czyli wyboru Zarządu Głównego oraz Sądu Koleżeńskiego i Komisji Rewizyjnej. Należy przyznać, że odbyło się to stosunkowo sprawnie, a największe zaufanie zdobył dotychczasowy prezes Marek Wawrzkiwicz i tym samym został prezesem Zarządu Głównego na kolejną kadencję. Późnym popołudniem wszyscy zmęczeni, ale zadowoleni rozjechali się do swoich miast i domów żałując, że mało było czasu na rozmowy i spotkania towarzyskie, które Polacy bardzo uwielbiają. Ale warto było, podróże zawsze uczą.

Żałuję tylko, że w ramach wolnych wystąpień nie zabrałam głosu na temat obsesyjnego używania wulgaryzmów, szczególnie w poezji, oraz słowa „ikona” do określenia idola, czyli modnego, aktualnie uwielbianego, ale o tym jeszcze kiedyś napiszę.

Barbara Trawińska

Nowi członkowie gorzowskiego Oddziału ZLP

Podczas ostatniego posiedzenia Komisja Kwalifikacyjna ZLP do grona członków (bez okresu kandydackiego) wpisała Jerzego Grodka gorzowianina z Writzen po drugiej stronie Odry, twórcę fraszek i aforyzmów, zebranych w pięciu książkach a do grona kandydatów włączyła Beatę Patrycję Klary, autorkę dwóch tomów wierszy oraz licznych esejów i artykułów krytyczno-literackich.



Beata Patrycja Klary

Poetka i eseistka, magister filologii polskiej, nauczycielka. W trakcie przygotowania pracy doktorskiej w Studium Doktoranckim na Uniwersytecie Opolskim. Swoje prace krytyczno-literackie publikowała w „Edukacji i Dialogu”, „Akancie” i „Pegazie Lubuskim”. Jako poetka debiutowała w antologii Klubu Literackiego GDK „Niedzielni poeci” i w kolejnych: „Poeci Okrągłego Stołu” i „Zapisani w wierszach”. Wydała dwa tomy wierszy: „Witraże”, za który dostała dyplom honorowy „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego” za najciekawszy debiut roku 2004 oraz dwujęzyczny – polsko-angielski tom pt. „Imaginacje – Imagination”. Bierze aktywny udział w spotkaniach warsztatowych Klubu Poetów Okrągłego Stołu w GDK i RSTK. Pełni funkcję zastępcy red. nac. „Pegaza Lubuskiego”, w którym prowadzi dział krytyki literackiej. W 2006 otrzymała stypendium Prezydenta m. Gorzowa, które pomogło jej zrealizować tomik „Imaginacje”.

miniatura dla Witka

już nie jesteśmy sąsiadami
nasze osiedle nie jest już naszym

a przecież miał mi jeszcze pokazać
stare fotografie z zapisanymi na nich wierszami

odłożyłam te wspominki... do jutra

zapewne kiedyś mi to wybaczy

proszę nie pukać

naczynie wydajnych krwinek
z mieszaniną pierwiastków
pokryte siatką pęknięć
szpetnych śladów przeszłości

wstawiono mnie do zmywarki wspomnień
gdzie strumień zapomnienia prowadzi do rozpadu

a przecież wystarczyłby twój płonący dotyk

tak się wypala szlachetną porcelaną

w fabryce aniołów

schodzimy z taśmy nadzy
nawilżeni parą naszych oddechów
porośnięci szelestem świeżych włosów
skrzydła dostajemy zawsze
jednorazowego użytku
możliwy lot tylko ku spełnieniu
delikatny muślin lotek spala się żarem

finał

obłoki piór osypują się na nasze
uśmiechnięte twarze

W świetle jasnej Wenus

dobry każdy twój dotyk
pogubionych palców
w zaskoczeniu
zetkniętych nieporadnie warg

pobudzone oddechy budują pomosty
startujemy w objęciach na wybraną z gwiazd
wyznaczam azymut
linią nadgarstkową
krągłością ramienia
asymetrią stopy

śmiejesz się tak głośno że pustynne muszle
pokazują perły których deszcz nie zmoczył

AneGrodki

Bez upiększeń

Lustrzane odbicie
Świadczy niezbicie.

Spryciara

Wielu już złapała
Na wdzięk swego ciała.

* * *

Lizusostwo nie ginie
...dzięki wazelinie.

* * *

Nieszczęść przyczynęk
Pociąg do dziewczynęk.

Na haki

Jeden zapisany przed
laty papieręk
Do ilu dziś służy
politycznych gieręk.

Przebiegły ustawodawca

Najpierw paragraf wypaczy
A następnie się nim raczy.

Propaganda

Łudzi
Ludzi.

Operatywny

Dorobił cosik
Przez donosik.

Ubarwiacze rzeczywistości

U nas zawsze kolorowo,
Bo wiele barw ma ich słowo.

Polski hydraulik we Francji

Na każdą dziurę
Ma gotową rurę.

Architekt

Lekką ręką stawiał kreski,
Teraz mamy widok kiepski.

Na kieliszeczki

Jak się z małych pija,
To boli i szyja.

Mażeńskie troski

Za nieplanowane dzieci
Winny jest ten trzeci.

Nadmiernie wciskany

Trick popolity,
Polityczne kity.

Lodołamacz

Każdej niedostępnej damie
Zimne serce z marszu łamie.

Porządny małżonek

Do domu wieje,
Gdy dnieje.

* * *

Z winy zwierciadła
Piękność umarła.

Odpowiednie uderzenie i...

Wielkie życiorysy
Też miewają rysy.

Do łasucha

Dobre powidła
– Też siadła.

* * *

Oj, to niedobrze, gdy się utrże,
Że żona musi chodzić w futrze.

* * *

Kielichy w dłonie
I... serce już płonie.

Produkcyjne koszty

Już wysuszone flaszki,
A gdzie pointa do fraszki?

Na zwięźłość

Myszę
Ściśle.

Skremowany

Chwycił się sposobu
I uniknął grobu.

Polityczne jarmarki

Pomimo że farba nowa,
Wychodzi wciąż ta gruntowa.

Panny

Pielęgnują rączki
Na złote obrączki.

Materialistka

Jej cele:
Pełne portfele.

Przy takiej...

Przy sex-bombie dziewczynie
Niejeden snajper zginie.



Jerzy Grodek urodził się 11.10.1959 r. w Gorzowie Wlkp. Od 1985 r. na stałe mieszka w Niemczech. Laureat konkursu „Fraszka uśmiechem codzienności” (1994). Stały współpracownik polskich i polonijnych czasopism, w tym „Gazety Chojeńskiej”. Animator polsko-niemieckiego życia kulturalnego, organizator imprez dążących do zbliżenia tradycji i kultury obu narodów. Satyryk, instruktor szachowy, szachista oraz członek Światowej Federacji Klubów Fajczarskich, prezydent DAN PIPE-Club Wriezen. Inicjator i organizator międzynarodowych turniejów szachowych w Bad Freienwalde oraz turniejów w wolnym paleniu fajki we Wriezen. Dwukrotnie mistrz Wschodnich Niemiec w wolnym paleniu fajki (2005 i 2006 r.). Członek Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (Association Polonaise des Auteurs, Journalistes et Traducteurs en Europe - APAJTE)

Dotychczas opublikował:

Aferyzmy (Gorzów Wlkp. 1995)

Imponderabilia

(Oderbruch-Gorzów Wlkp. 1999 i 2005)

Pyk i przytyk

(Oderbruch-Gorzów Wlkp. 2004)

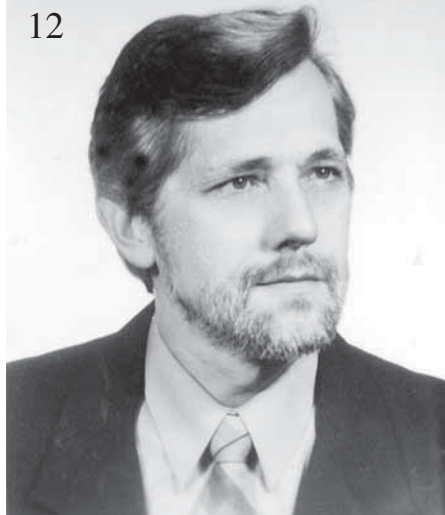
Jerzy, który się jeży

(Zielona Góra 2005)

Myśli dymkiem przeplatane

(Chojna 2006)

Wiele jego aforyzmów, przełożonych na język niemiecki, ukazało się w wydaniach zbiorowych m.in. **Silber-diestel 4** (Potsdam 2000), **Gedankenflug** (Hattingen 2005) i w 16. numerze **Pegaza Lubuskiego**



Ludwik Lipnicki

Ludwik Lipnicki
– Literat – urodził się 25 VIII 1947 r. w Łubiance k. Gorzowa. Studia ukończył i tytuł doktora

habilitowanego nauk biologicznych uzyskał na Wydziale Biologii UMK w Toruniu. Profesor, nauczyciel akademicki w Instytucie Wychowania Fizycznego w Gorzowie.

W 1986 r. debiutował wierszem w piśmie „Przyroda Polska”. Od 1998 r. członek ZLP. Dwukrotny (w 2003 i 2006 r.) laureat II nagrody w kategorii prozy w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego.

Mieszka w Dreźnie.

Wydał książki literackie:

- * „O tym ci powiem” – wiersze, Tuchola 1991
- * „Zapięła się jesień” – wiersze, Kraków 1994
- * „Na niebie, na ziemi” – proza, Gorzów 2002
- * „Pan Iko” – powieść – Gorzów 2007

Jest autorem kilku książek z zakresu nauk biologicznych, najważniejsza to:

* „Porosty: klucz - atlas do oznaczania najpospolitszych gatunków”, wspólnie z Hanną Wójcik, Warszawa 1995

Był redaktorem naukowym książek związanych z przyrodą regionu, m. in:

* „Porosty (Lichenes) Pszczewskiego Parku Krajobrazowego”, Gorzów 1991

* „Gospodarowanie zasobami naturalnymi województwa lubuskiego w kontekście europejskiej polityki ekologicznej”, Gorzów 2001

* „Ochrona zasobów naturalnych województwa lubuskiego: walory przyrodnicze regionu”, Gorzów 2005

* „Przyroda gminy Drezdenko”, album, Drezdenko 2006

Na twórczość Ludwika Lipnickiego ogromny wpływ ma jego wykształcenie i wrażliwość na przyrodę. Wiersze zrodziły się przede wszystkim z podziwu dla przyrody, a także dla człowieka. Tom prozy „Na niebie, na ziemi” w formie listów datowanych tylko dniem i miesiącem, a nie rokiem, podkreśla coroczny cykl przyrody, która ma ogromny wpływ na człowieka. Zdzisław Łączkowski te związki między przyrodą a literaturą tworzoną przez Ludwika Lipnickiego tak określił:

Wiele jest w tej poezji dumy, pięknej dumy i radości, że człowiek został powołany do istnienia, do życia, ale wiele też i pięknej pokory, wobec istnienia innych, wobec otaczającej nas przyrody. I to świadczy o wielkości poezji Lipnickiego, to nada jej ogromnego wymiaru i czyni ją na wskroś humanistyczną, ludzką. Harmonijne współzycie człowieka z przyrodą i radość, ogromna radość z tego współzycia. Jednym z piękniejszych wierszy Ludwika Lipnickiego jest „List do poety – księdza Jana Twardowskiego”. List ten świadczy o twórczym powinowactwie obu poetów.

Nowe książki

PAN I KO

powieść na wtorek

Rozdział 8 z wizytą Pana Iko w zakładzie Mistrza Salvatora, który ma problemy z rzeźbami gołych nimf, przy okazji dowiadujemy się też kilku szczegółów o przyzwyczajeniach rzeźbiarza

(...) To poranne przejście z domu do niezbyt odległego banku miało dla Pana Iko dodatkowy, niemalże mistyczny charakter. Była to w zasadzie jedyna część dnia, kiedy odważnie, a nawet z pewną wyższością spoglądał na mijanych przechodniów, kiedy nie spuszczał głowy i nie przemykał się pełen niepokoju, że ktoś go o coś zapyta albo zagadnie w jakiejś nawet najbłaższej sprawie. Szedł odważnie, bez pośpiechu, z pewnego rodzaju satysfakcją, podobną tej, jakiej oddawał się jeszcze kilka godzin temu. Tej wcześniejszej nie mógł niestety zademonstrować nikomu, teraz było inaczej. Teraz obok przechodzili inni ludzie. Co prawda nieliczni, ale zawsze... – jedni w tę, inni w przeciwną stronę, przeważnie śpieszący się do swoich obowiązków lub uciekający przed deszczem, który niemalże już wisiał w powietrzu. Tę pochyloną i ciągle wycierającą nos rękawem kobietę miał prawie codziennie; zawsze rzucała na Pana Iko spojrzenie, w którym był jakby cień uśmiechu albo zapytania... Albo te dziewczyny – zapewne przynajmniej co drugi dzień spóźniały się do szkoły, bo wyprzedzały go chichocząc i – co zawsze irytowało Pana Iko – niezależnie od pogody nie zapinały kurtek i paradowały z odkrytymi głowami...

On szedł, a sposób, w jaki wodził wzrokiem na prawo i lewo, można bez większej przesady nazwać dumnym.

– Oto idę! – bezgłośnie zdawał się mówić całym sobą. – Nie muszę... Ha! Nikt i nic nie nakazuje mi, bym to robił, nigdzie też nie jest zapisane, że powinienem akurat teraz i tu iść, a jednak idę – uśmiechnął się. – Idę, bo właśnie mam na to ochotę. A wy? – współczująco ale tak, jakby to współzucie rozdzielał wspaniałomyślnym gestem, spoglądał w twarze opatulonych przechodniów. – A wy musicie pędzić, wy nie możecie powiedzieć: Nie! A ja mogę, bo akurat mi się nie chce lub chce – znowu uśmiechnął się z satysfakcją.

Tak medytując minął plac, przeszedł na drugą stronę ulicy, przy której niecałe trzysta kroków dalej – wiedział, bo niejednokrotnie liczył swoje kroki – przy następnym placu, na rogu stał jego bank.

Dzisiaj jednak zatrzymał się, popatrzył w tamtą stronę, odwrócił głowę w lewo i jeszcze raz w kierunku banku. W końcu skierował się w lewo na deptak, gdzie latem stały ławeczki, było kolorowo i głośno, a teraz płyty połyskiwały wilgocią. Minął kolejno: bar na rogu, sklep tekstylny i... minąłby niewątpliwie zakład fryzjerski, ale...

– Tu? – zadał sobie pytanie.

Coś w tym miejscu się zmieniło. Było jakby inaczej. Jednak stojące w witrynie ozdobione perukami drewniane głowy były te same co zawsze.

– Tu! – sam sobie odpowiedział i wszedł.

Dzwonek wiszący nad drzwiami zaterkotał dźwięcznie. Tak samo zadźwięczał, gdy Pan Iko zamknął za sobą drzwi.

– Dzień dobry! – Pan Iko ściągnął czapkę, rozwiązał i zaczął ściągać szalik.

– Witaj! Cześć, Iko. – Twarz Mistrza Salvatora, właściciela lokalu, rozjaśnił uśmiech. Na chwilę tylko uniół głowę pochyloną nad klientem przed jednym z trzech luster po prawej stronie od wejścia. – Zdejmij, proszę, płaszcz i poczekaj. Zaraz kończę. Cieszę się, Iko, że przyszedłeś! – Mistrz jako jeden z niewielu zwracał się do Pana Iko po imieniu i zdawał się nie zauważać zmian, jakie zaszły w Panu Iko kilka lat temu, gdy ten nie zachodził do jego zakładu przez niemalże pół roku. Przedtem i potem te swoiste wizyty składane były przeciętnie co sześć do ośmiu tygodni i stosunek Mistrza do tego klienta, od którego nigdy nie brał zapłaty za usługę, był niezmiennie życzliwy, można by powiedzieć, że ojcowski. Gdyby Pan Iko zadał sobie pytanie, albo gdyby to ktoś zapytał Pana Iko za co lubi Mistrza Salvatora i gdyby udało

się wydobyć odpowiedź na nie, to zapewne byłoby w niej zawarte to mało skomplikowane, albo trudne do wyartykułowania z pełnym przekonaniem: „Za to, że jest”.

Zaczął się to wtedy, gdy Pan Iko po raz pierwszy spostrzegł, że dzięki rozmowom z Mistrzem Salwatorem zaczyna sobie to i owo przypominać z wcześniejszego, tego sprzed wypadku, okresu. Nie mógł wiedzieć, że Mistrz nie robi tego przypadkowo. Ba! Przyczyna swoistego sentymentu Mistrza Salwatora do Pana Iko leży głęboko pod warstwami czasu przykrywającego uczucia sprzed wielu dziesiątek lat. Mistrz Salwator, po prostu, pomaga w jedyny możliwy w jego sytuacji sposób synowi kobiety, w której jeszcze jako w płochy dziewczynie, a potem w młodej mężatce, po prostu się podkochiwał. Ale Pan Iko o tym nie wiedział.

Tak jak rodzice nie zauważają, że ich dziecko już dorasta, tak jak nie widzimy starzenia się osób, z którymi żyjemy pod jednym dachem lub z którymi często spotykamy się, tak też i Pan Iko nie dostrzegał, że dziesięć Mistrz Salwator i ów Mistrz z czasów, gdy przyprowadzała go do niego Mama, to fizycznie nie ta sama osoba. Tamten był wysoki, poruszał się energicznie sprężystym krokiem wysoko nosząc głowę z kruczoczną gęstą czupryną. Dzisiaj głowa fryzjera była siwa, chociaż już nieco przerzedzone włosy nadal były ułożone w fantazyjne fale; chodził pochylony. Od oczu w dół i nieco na zewnątrz biegły głębokie bruzdy, podobne do innych, rozpoczynających się po bokach nosa, a przede wszystkim do głęboko żłobiących wysokie czoło. Jedynie pocernione wąsy, jak przystało na właściciela takiego nazwiska, tworzyły niezbyt grubą, ale za to wyrazistą kreskę i kończyły się ostrymi szpikulcami sterzącymi daleko poza obręb policzków. Pan Iko bezmyślnie studiował twarz Mistrza w lustrze umieszczonym przed fotelem klienta. Gdy ich spojrzenia spotykały się, Mistrz uśmiechał się życzliwie.

W czasie, gdy Pan Iko sadowił się na zwolniony przed chwilą fotel, Mistrz sprawnie pozamiatał, odstawił szczotkę za parawan i już po chwili zarzucił na barki gotowego do postrzyżyn Ika pełerynę, którą zawiązał mu pod szyją, a następnie rozpoczął swój fryzjerski kontredans wokół głowy i fotela. Iko lubił Mistrza i z przyjemnością obserwował okrążające go płynne ruchy grzebienia i nożyczek. Miał dużo czasu, żeby również studiować swoją twarz. Chcąc dojrzeć jakiś słabo widoczny szczegół przechylał głowę to w prawo, to w lewo, a Mistrz Salwator cierpliwie, bez słów nastawiał ją wedle swoich zawodowych potrzeb.

Zamyślony klient przeniósł wzrok na obraz, którego odbicie zawsze widział z tego miejsca. Nie wiedział dlaczego, ale fascynowała go zagadka tkwiąca w tych jakby zmęczonych i oklapniętych zegarach, przewieszonych przez jakieś mury.

– A tam co znowu? – ruchy nożyczek ustały, a Mistrz z uwagą spoglądał w stronę okna.

Pan Iko spoznał także. Za szybą – mimo że była zmoczona deszczem – można było rozpoznać grupkę przechodniów, którzy zatrzymywali się przed zakładem i coś sobie ze śmiechem pokazywali.

– Przepraszam cię, poczekaj chwilę, Iko. – Mistrz włożył nożyczki do kieszeni fartucha i wyszedł przed zakład. Po chwili wrócił i wzbudzony, szybkim krokiem przeszedł na zaplecze, skąd wyniósł wiaderko i szczotkę z nasadzoną na jej zakończenie gąbką.

– Poczekaj jeszcze trochę – powiedział. – Co za durna baba! – powtarzał napełniając wiadro wodą z kranu. – Żadnego wstydu nie ma! Że też takiej nie można się pozbyć w ramach akcji jakiegoś odszczurzenia!

Ależ gdzie!... Toż to gorsze od szczura...

Zakręcił kran i wyszedł znów na ulicę.

Pan Iko nie ruszając się ze swego krzesła, obserwował coraz większe rozbawienie ludzi za szybą oraz Mistrza Salwatora, który zanurzał szczotkę w wiadrze i następnie wykonywał nią ruchy szorowania. Pan Iko nie widział, co było myte, w każdym razie nie szyby.

Mistrz wrócił do zakładu, udał się na zaplecze i w już innym, suchym fartuchu wrócił do swej pracy.

– Przepraszam cię za tę przerwę – jeszcze był wzbudzony.

– Nie szkodzi, mam czas – spokojnie odpowiedział Pan Iko.

– Wiem, wiem – machinalnie powtórzył Mistrz Salwator. – Na czym to stanęliśmy? – zapytał sam siebie i znalazłszy właściwy punkt na głowie kontynuował swoją pracę.

Ciachnął nożyczkami kilka razy, westchnął, pokręcił głową, przerwał pracę i podparł się pod boki.

– Zobacz! No, sam zobacz, Iko, co za ludzie! – wróciło mu zdenerwowanie. – Widziałeś te płaskorzeźby przy wejściu? – bardziej stwierdził niż zapytał. – Piękne, prawda? Stoją już trzy tygodnie...

– Taaak? Jakoś nie zauważyłem żadnych rzeźb – nieśmiało przyznał się zapytany.

– Nie szkodzi – rzekł już nieco spokojniejszy Mistrz. – Przyjrzyj się, gdy będziesz wychodził. Uff! Co za baba!.. – i... kontynuował strzyżenie.

Pan Iko z uwagą słuchał Mistrza, ponieważ dotychczas nie zdarzyło mu się widzieć go tak zdenerwowanego.

– To są kariatydy, które zamówiłem u naszego kamieniarza. Udały się pięknie. Co ja mówię! Cudownie! Udały mu się cudownie! Wprost idealnie oddał doskonałość kobiecych kształtów!... Zresztą, sam zobaczysz, gdy będziesz wychodził.

Mistrz Salwator, jak każdy wielbiciel sztuki, nie dopuszczał do siebie myśli, że ktoś może nie interesować się tym, co go pasjonuje.

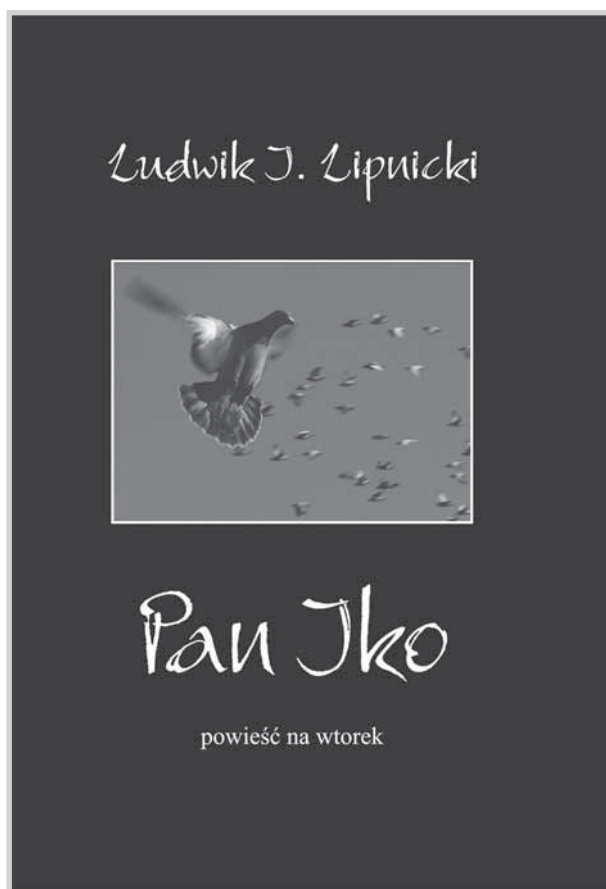
– I wyobraź sobie... – znowu się zdenerwował, a Pan Iko z niepokojem śledził dość gwałtowne ruchy nożyczek koło swego lewego ucha. – Ta głupia baba, ta... zza rogu, już na drugi

dzień po zainstalowaniu rzeźb urządziła przed moim zakładem pikietę. Tak, tak, pi-kie-tę! Wrzeszczała przez tubę coś o niemoralności, o zgorzeniu i inne androny. Żeby to sama! Ale nie! Przyprowadziła też swoje bachory, całą ósemkę, a dwójka najstarszych trzymała transparent z kulfoniastym napisem „Precz z sodomą i gomorą!”. Wyrażasz to sobie? Oczywiście, zrobiło się zbiegowisko niemiłosiernie. Ludzie mieli ubaw po pachy. Już nawet przybyła straż miejska. Na szczęście była mżawka, papier rozmókł i to kretyńskie hasło spłynęło. Babie nie przeszkadza, że każdego bachora ma z innym ojcem, a rozum odziedziczyli, niestety, po niej, bo tatusiowie dzieciaków widocznie spali z nią tylko w chwili jakiegoś zamroczenia lub kompletnego otępienia i każdy z nich po otrzeźwieniu zwiwał, gdzie pieprz rośnie... Co ja ci zresztą będę mówił!

Jednak wytrwał w tym postanowieniu nie dłużej niż minutę i kontynuował monolog:

– Wyobraź sobie, Iko, jeszcze w ten sam dzień dołączali do niej, do tej nawiedzonej, inni, jej podobni. Mówię ci... – ciachnął nerwowo nożyczkami gdzieś z tyłu głowy Pana Iko. – To był, niestety, dopiero początek! Obelgi, że jestem zbrodźcą... i takie tam inne...! Ech! Co ci będę mówił!

Mistrz odłożył nożyczki i grzebień, oddychał głęboko, a następnie napełnił szklankę wodą i napił się. Po chwili odpoczynku powrócił do



swojego zajęcia, obszedł klienta dookoła, przekrzywiwszy nieco głowę przyglądał się krytycznie swemu dziełu, następnie ściął jakiś kosmyk, znowu odsunął się i znowu szczęknęły nożyczki.

– Będzie dobrze. Ale, ale, przyjacielu! Wąsiki trochę zaniedbałeś, doprowadzimy je do porządeczku. Przytniemy... podgolimy...

Nie czekając na potwierdzenie zaczął namydlać zarost.

– I o czym to ja mówiłem? Aha, te bachory... I wyobraź sobie, Iko, nie ma dnia, żeby moje rzeźby nie miały zamalowanych piersi i podbrzusza; niby mają to być staniki i majtki. Ta baba wygania swoje dzieciaki do roboty już w nocy. Podpatrzył je kiedyś i pogonił stąd sąsiad, szewc z naprzeciwka...

Mistrz ciągle wzdychając, chwycił lewą ręką za dolny koniec zwisającego obok lustra szerokiego skórzanego paska, naciągnął go, a następnie płynnymi ruchami zaczął ostrzyć brzytwę pocierając ją na przemian z góry na dół i z dołu do góry.

Kontynuował swój monolog, akcentując każdą wypowiedzianą myśl bardziej energicznym ruchem ręki z brzytwą.

– No, sam pomyśl, tym najbardziej świętoszkowatym, na widok wyeksponowania choćby niewielkiego fragmenciku ludzkiego ciała, tylko jedno przychodzi do głowy, nawet jeśli jest to dzieło sztuki... A przynaj sam: kobiece ciało, to przecież najwspanialsze dzieło sztuki. Z początku myłem moje „panie” od razu po przyjściu do pracy, ale po kilku dniach stwierdziłem, że tak samo dobrze robi to codziennie padający deszcz. Tym bardziej, że bohomyzy te malowane są zwykłymi farbami...

Mistrz zajął się nareszcie wąsami Pana Iko, który przerażonym wzrokiem wodził za ostrzem brzytwy.

– Ale to, co ta baba dzisiaj wymyśliła, to już szczyt bezczelności! Któryś z tych półgłówków musiał domalować rzeźbom majtki wtedy, gdy ja już byłem w zakładzie. Mało tego! Namalował to czerwonymi farbami... I teraz już chyba się domyślasz... – westchnął – co tak bardzo ubawiło tych wszystkich ludzi na ulicy...

Pan Iko – jeśli miałby być szczerym – to przyznałby, że nie domyślał się, ale nie mógł o tym powiedzieć, bo Mistrz palcami lewej ręki mocno chwycił go za czubek nosa, a prawą uzbijoną w brzytwę robił porządek z jakimiś niesfornymi pojedynczymi włoskami pod nosem i na policzkach.

– ...No tak... – kontynuował Mistrz, przypominając sobie, że mówi do Iko. – Mówię ci! Jak któregoś z tych bachorów złapię, to mu nogi z dupy powyrywam!

Pan Iko dopiero teraz zaczął domyślać się, jak bardzo Mistrz musi być zdenerwowany, skoro używa takich wyrazów.

Brzytwa już leżała na stoliku, a zatrudnione zostały nożyczki, które przekształcały wąsy w gustowną szcotkę.

– Wiesz jak to wyglądało, gdy czerwona farba wraz z deszczem ściekała strużkami po wewnętrznej stronie ud aż do stóp tych moich rzeźb? Musiałem je umyć, a gawiedz miała uciechę... I jeszcze te komentarze..., że powinienem poczekać ze dwa – trzy dni, bo one widocznie dostały... I jak? – rzucił pytanie do lustra, przyglądając się odbiciu Pana Iko, zmienionego jego, było nie było Mistrza Salwatora, ręką. – Może być?

Oczywiście, że mogło. Pożegnał się z Mistrzem i odświeżony, ogołony oraz pachnący wodą kolońską wyszedł z zakładu. Na deptaku ga-

piów już nie było, więc mógł spokojnie obejrzeć przedmiot monologu Mistrza. Rzeczywiście, po obu stronach drzwi znajdowały się wykute w szarym kamieniu płaskorzeźby nagich kobiet nieco większej niż naturalnej wielkości. Ich rozpuszczone włosy częściowo zakrywały piersi. Obie jedną ręką przytrzymywały opadające pukle włosów, a drugą wstydliwie zakrywały podbrzusze.

– Ach to te... Te... – powtarzając półgłosem, Pan Iko próbował sobie przypomnieć ich miano. – Ano właśnie!.. Anioły!

Znał je, był świadkiem trudu tworzenia ich przez kamieniarza. Podczas wizyt na cmentarzu lubił zachodzić do tego dziwnego człowieka, który miał swój warsztat tuż za cmentarnym murem i oglądać kolejne etapy wyłaniania się z bezkształtnej kamiennej bryły postaci jak żywe. Artysta ów, o czym nie tylko Pan Iko mógł się wielokrotnie przekonać, szczególnie chętnie rzeźbił i umieszczał na nagrobkach tuste aniołki, których nagie pulchne pośladki zawsze były mocno wyeksponowane.

– Patrz pan, panie Oko... – zawsze się mylił, a Pan Iko cierpliwie go poprawiał:

– Iko.

– No właśnie, właśnie... O czym to ja?... – Bywało, że kończąc wypowiedź zupełnie już nie pamiętał, od czego rozpoczęła się rozmowa.

– O aniołkach. – Pomagał mu Pan Iko.

– Ano właśnie. Dziękuję – i zsuwał okulary, żeby popatrzeć na swoje dzieło.

– ... te moje aniołki, panie, te dupeczki krągłutkie. Te kochaniutki... – i przyglądał im się z boku krytycznie, po to, żeby po chwili studiowania wygładzić dłutkiem albo papierem ściernym jakiś niewidzialny dla postronnego obserwatora karbik. – Tu skrzydełko jest nieco za długie, więc je le-ciu-teń-ko skrócimy... O tak właśnie, chociaż podatku mi za to i tak nie zmniejszą... Ha ha – zaśmiał się ze swego dowcipu. (...)

Rzeźbił też dorosłe anioły, ale w związku z tym, że miały one na sobie zbyt mało szat i do tego jeszcze wręcz nachalnie eksponowały swoją anatomiczną kobiecość, obrońcy moralności ukrótili ten niecny – ich zdaniem, oczywiście – proceder. Ale tych spośród aniołów, które zostały już wcześniej ustawione na cmentarzu, nie usunięto i Pan Iko lubił chodzić na cmentarz między innymi właśnie ze względu na owe dzieła. Lubiał też zachodzić do warsztatu tego człowieka. Kiedyś pozwolił sobie nawet na uwagę:

– Ja to bym tak nie potrafił.

– E tam – usłyszał w odpowiedzi. – Tak ci się wydaje. Trzeba tylko odłupać i odrzucić to, co jest w tym kamieniu niepotrzebne. Żadna sztuka – zakończył skromnie artysta.

Stojąc teraz przed już skończonym i wyeksponowanym dziełem Rzeźbiarza, Pan Iko przypomniał sobie te rozmowy.

Kariatydy – jak je nazywał Mistrz Salwator – powstawały w pracowni kamieniarza przez całą jesień. Pan Iko, mimo że był świadkiem kolejnych etapów ich narodzin, nie wiedział i nie przypuszczał, że będą one zdobić fronton zakładu fryzjerskiego i będą źródłem tylu niezadowolonych zgryzot Mistrza...

Deszcz już nie padał.

Pan Iko spojrział na zegarek – do dziesiątej brakowało trochę mniej niż pół godziny.



Ludwik Lipnicki na spotkaniu promocyjnym „Pana Iko” w Klubie Myśli Twórczej „Lamus” w Gorzowie

Czesław Markiewicz

Modernistyczny sen Ludwika Lipnickiego

Historia Pana Iko, chociaż... historia to zbyt dużo powiedziane – no to może akcja „Pana Iko”, i tu też mam wątpliwości, dodajmy: wysoce twórcze wątpliwości, niech więc nareszcie będzie: rzecz o Panu Iko rozpościera się w czasie powieściowym zamkniętym w ciągu jednego dnia, między godzinami 00:01 a 22:45. Gdybym nie czytał tej powieści-opowieści, a tylko zajrzał do spisu treści, ewentualnie przekartkował kartkę „Przedśłowia”, mógłbym pomyśleć: no Joyce! „Ulisses” jak w mordę strzelił. Ale, po pierwsze: Pan Iko nie jest, jak Leopold Bloom akwizytorem (choć kasyer, to też... ciekawy zawód); po drugie ten jeden dzień u Joyce’a (16 czerwca 1904 roku) nie wypadł akurat na wtorek (bo to był czwartek), a u Lipnickiego mamy wyraźną sugestię dotyczącą wtorku (w podtytule „Pana Iko” czytamy: „powieść na wtorek”), co być może tylko sugeruje, że mamy to czytać w ten, akurat ostatni dzień tygodnia. Przy okazji: wtorek kojarzę z 29 października 1929 roku, jako kolejny „czarny” dniem tygodnia na New York Stock Exchange (Nowojorskiej Giełdzie Papierów Wartościowych). A uczepliłem się tych dat i wyliczeń nie bez powodu. Otóż taka osobliwa drobiazgowość, nie pozbawiona erudycji, z grubsza cechuje narrację „Pana Iko”. Nie jest to, chyba na szczęście, ten sam nerw „strumienia świadomości” „Ulisesa”. Poważnie mówiąc, różnic jest o wiele więcej, choćby introspekcje, które w „Panu Iko” bywają bardziej instrumentalnymi retrospekcjami, niż „penetracją zaufków świadomości”, czy tam podświadomości... – zostawmy więc Joyce’a w spokoju.

Tak, czy owak, mam ponowoczesne wrażenie, że gdzieś już z taką narracją się zetknąłem. Najpierw odnalazłem atmosferę budowaną w prozie Janusza Olczaka przez niejakiego Marandę, może coś z „gadulstwa” Profesora Tutki Szaniawskiego, później odnadywałem coś na kształt sanacyjnej lekkości Dołęgi-Mostowicza, wreszcie (i to chyba najtrafniejsze skojarzenie) z Eureką na ustach trafiłem na Kabaret Starszych Panów. Trochę ponemieckiej albo austro-węgierskiej, ze wskazaniem na Czechy, secesji pomieszanej z wczesnym egzystencjalizmem francuskim (bliżej jednak Sartre’a niż Camusa). A to wyszukane imiona (Emechiusz, Anastazja, Benenika, Orion, Salwator), a to wyrafinowane epitety („grasejujące chrapanie”, malowidła w stylu „sosów monachijskich”), a to aluzje do „kokietującej narracji” choćby samego Bułhakowa („Ani opowiadający, bo go tam nie było, ani Pan Iko, bo niczego nie zapamiętał, nie mogli wiedzieć, że zdarzenie miało nieco inny przebieg”).

I tu się zatrzymajmy. W istocie tych zdarzeń nadbudował autor tyle, że wychodzi z tego już nie jakaś inwertyczna gadanina, ale coś na kształt „szkatułki”, którą najbliżej kojarzę po wierzchu z „Rękopisem znalezionym w Saragossie” Potockiego. Chociaż nie rzecz w pomieszaniu epok, czy tam stylów, ale w przenikaniu i pozornym wynikaniu jednej opowiadki z innej opowieści. Formalnie Lipnicki „obsługuje” to chytrym niby kwantyfikatorem: „Tu dygresja” albo „Tu konieczna jest niewielka dygresja”. Po czym stawia dwukropek i rozpoczyna jakąś nową historię, której zresztą nigdy nie kończy, obiecując ciąg dalszy, który gdzieś tam następuje, ale czytelnik nie jest o tym wprost informowany. Przy czym wszystkie przemyślenia i cała „wewnętrzność” Pana Iko, inspirowane są zdarzeniami najbliższego otoczenia. Tak to dźwiękiem nierównych kroków wychodzącego do pracy Pana Gołębiarza, widokiem po raz pierwszy ujranych koronkowych majtek „dziewczyny mieszkającej na końcu korytarza”, czy „dwuznacznym zamówieniem Pani Anastazji”.

Wszystko w „Panu Iko” nanizane jest na wąty czas jednego dnia i skarłatą przestrzeń domostwa Pana Iko. W tym pozornym ograniczeniu znajdujemy jednak panoramę ludzkiej naiwności, czystości intencji, dziwnie tkliwej nieporadności, co w sumie, myśląc już o przesłaniach, ucieleśnia ideę człowieczej pokory w obliczu nieokiełznanego „intelektualizmu”. Chyba tylko tak, w stylu rozgwaru samego Pana Iko, można mówić o urodzie tej niepozornie ważkiej prozy Ludwika Lipnickiego. Ta powieść jest dla mnie propozycją bezbolesnej ucieczki w świat sublimacji, w świat, który rugowany jest z naszej świadomości podniecającą, aczkolwiek bywa bolesną, realnością tego, czego doświadczamy oglądając telewizję, czytając codzienną prasę. Świat Pana Iko nie istnieje. Pan Iko jest wypreparowanym z ilorazu inteligencji bytem. Pan Iko jest, mówiąc obrazowo, gadającym mózgiem, kontrolowanym przez autora, który świadomie lekceważy swoją wiedzę o świecie przedstawionym, który przecież jest jego tworem. Że brzmi to paradoksalnie? No, chyba, że zlekceważymy kategorię „śmierci autora”.

„Pan Iko” to, wbrew temu, co wyżej napisałem, niebezpiecznie inteligentna powieść. Lipnicki z profesorskim dystansem dobrotliwie szydzi z literatury rozumianej jako wieszczczenie „prawd objawionych”. „Pan Iko” sprawia wrażenie prozy popularnej. Pozornie ta niepozorna książka ma służyć rozrywce. I rozrywką jest, tak, jak filmy Chaplina, jak produkcje Cyrku Monty Pythona.

Konstytucją „Pana Iko” jest subtelność. Lipnicki już w anachronizmie nazwania prologu „Przedśłowiem”, zachęca potencję czytelnika do zejścia w podziemia „wolnej woli”: „Możesz, Szanowny Czytelniku, książkę tę wziąć do ręki albo w ogóle nie brać. Ale skoro czytasz te słowa, to jednak wzięłeś – lecz ciągle jeszcze możesz ją odłożyć – w co zresztą nie wierzę, jeśli ją kupiłeś”. A przecież można było tę zachętę zwyczajnie zwulgaryzować i nazwać to „marketingiem”. W języku Pana Iko nie obowiązują takie pojęcia. „Pan Iko” jest także cudnie spatyniały, żeby nie powiedzieć omszały, jak butelka starego, dobrego wina.

Nie sposób, zresztą nie ma takiej potrzeby, spenetrować fabułę „Pana Iko”. Ale wyjmując nawet pojedyncze rozdziały, a nawet akapity, czuć w nich rękę mądrego, mądrością dystansu, autora. Ale warto na koniec skompilować z ostatnich zdań „Pana Iko” coś na kształt posłania całej powieści, które zawiera się w radości z samego faktu egzystencji, żeby nie powiedzieć życia: „Pan Iko uśmiecha się szczęśliwy z udziału w tym, co się śni jego głowie. Tyle kolorów – po raz pierwszy od... Od kiedy? Gdyby teraz się obudził i właśnie takie pytanie sobie zadał, to z pewnością nie potrafiłby znaleźć odpowiedzi. (...) A może burze, rozterki i niepokoje dnia to w gruncie rzeczy mało ważne przykrości, jeśli po nich nadchodzi szczęśliwość zasypiania? (...) Pan Iko smacznie śpi zanurzony w zdrowym, kolorowym śnie. Oby odtąd jego sny były zawsze kolorowe. Jak tej niezwyklej nocy. Z wtorku na środę”.

I co dla mnie najważniejsze: „Pan Iko”, znowu wbrew pozorom, stwarza olbrzymie możliwości konotacyjne – ten postmodernistyczny „urok” przechodzenia od tego, co anachroniczne, do tego, co odkrywcze. Od „czarnego wtorku” z Wall Street, do szczęśliwego snu Starszego Pana, Profesora Tutki gdzieś z obrzeża Puszczy Noteckiej.

Ludwik Lipnicki. Pan Iko. WAG Arsenal. Gorzów Wlkp. 2007. Książkę można nabyć drogą internetową pod adresami: lipnicki@wp.pl; wag.arsenal@wp.pl oraz w księgarniach „Daniel”.



Iwona Kusiak

W 4. kwietniowym numerze „Dialogu” opublikowana została sztuka Iwony Kusiak pt. „Czekaj”. Autorka jest absolwentką Wydziału Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie i kierownikiem literackim w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wlkp.

Pierwszą książkę zaczęła pisać pod koniec szkoły podstawowej. Była w pierwszej klasie liceum, gdy napisała sztukę na konkurs „Szukamy polskiego Szekspira” organizowany przez ASSITEJ. Dostała wyróżnienie i weszła do grona młodych adeptów scenopisania. Dzięki ASSITEJ dwukrotnie reprezentowała Polskę na Europejskim Festiwalu Młodych Dramatopisarzy: w Berlinie i w Pécsu na Węgrzech. Za krótki utwór dramatyczny otrzymała wyróżnienie w X Ogólnopolskim Konkursie im. Zdzisława Morawskiego w Gorzowie.

Po skończeniu studiów w 2005 r. rozpoczęła pracę w Teatrze im. Juliusza Osterwy najpierw jako sekretarz literacki, a po roku jako kierownik literacki, chyba najmłodszy w Polsce. Sztukę „Czekaj” napisała jeszcze podczas studiów.

O swoich upodobaniach literackich i o widzeniu świata powiedziała w wywiadzie dla „Dialogu”:

W twórczości Czechowa zakochałam się bardzo dawno temu, ale nie zaczynałam pracy nad tym tematem od założenia, że chcę stworzyć dramat w stylu Czechowa. „Czekaj” jest dla mnie sztuką o tyle wyjątkową, że beznadziejnie smutną. Moim ulubionym gatunkiem jest komediadramat, a niedoścignionym wzorem do naśladowania – Woody Allen, nowojorski Czechow naszych czasów. Jego bohaterowie neurotyczni, zagubieni hipochondrycy idą o krok dalej niż bohaterowie Czechowa, ale są tak samo śmieszni i beznadziejni. (...) Świat, który stworzył Czechow, jest mi szalenie bliski, a ludzie podobni do jego postaci mieszkają w mojej wyobraźni. Bohaterowie dnia codziennego, mali, śmieszni, pełni słabostek, cierpiący z powodu pewnego okaleczenia psychicznego, jakim jest niezdolność do szczęścia. Można to też nazwać nadmierną wrażliwością albo alergią na życie. Z pozoru świetnie radzą sobie we współczesnym świecie, ale zawsze mają jakąś skazę, coś, co nie pozwala im awansować, zaryzykować, iść za głosem serca, postawić wszystkiego na jedną kartę. Przemykają przez życie niezauważeni przez innych, jak tło dla barwniejszych postaci czy wątków. Wzrusza mnie ich bezradność wobec świata. Ci ludzie też mają prawo do własnych historii. Moja kolejna sztuka nosi tytuł „Alergia” i też opowiada o uczulonych na życie.

Bohaterami sztuki „Czekaj” jest trójka rodzeństwa: Janusz, 27 lat, niedoszły naukowiec z zagmatwanymi wspomnieniami nieżyjącej żony, Julia, lat 29, dziennikarka radiowa, po nieszczerliwym małżeństwie, Helena, 25 lat, studentka rzucająca studia na rzecz swobodnego życia oraz Grześ – 20-latek mieszkający piętro wyżej, przez długoletnie sąsiedztwo jakby członek rodziny. Pewnego dnia do drzwi mieszkania rodzeństwa Czekajów zadzwonił Hubert, ich ojciec, który 15 lat wcześniej po prostu wyszedł z domu. Jego postać burzy codzienny porządek, każe zastanowić się nad postawami bohaterów, nad wzajemnymi relacjami

Krystyna Kamińska

Niech Czekajowie nie czekają

między nimi, nad przyczynami nieszczęścia, a tym samym nad warunkami szczęścia w życiu.

Tadeusz Różewicz pisał: *Przecież w życiu ludzie stale do siebie nie strzelają, nie wieszają się, nie oświadczają się sobie. I nie stale mówią mądrze. Przeważnie jedzą, piją, zalecają się do siebie, plotą głupstwa. Trzeba więc, aby na scenie było to również widoczne. Trzeba napisać taką sztukę, w której ludzie przychodziliby, wychodzili, jedli obiad, rozmawiali o pogodzie, grali w karty... Niech na scenie wszystko będzie tak samo skomplikowane, a jednocześnie tak samo proste jak w życiu („Przyrost naturalny”, „Dialog 1968 nr 4).*

Sztuka Iwony Kusiak wydaje się być napisana według wskazania tego znakomitego polskiego dramaturga. Traktuje o codzienności, rozmowy bohaterów odbywają się najczęściej przy jedzeniu, a w tym samym czasie – jak określa Różewicz – „tworzy się ich szczęście lub rozbija życie”.

Iwona Kusiak w sztuce świadomie podkreśla swoją miłość do Czechowa, a szczególnie do „Trzech siostr”, gdzie prawdziwe dramaty rozgrywają się w czterech ścianach wspólnego domu i gdzie w psychice bohaterów tkwi podstawowa przyczyna ich nieszczęść. W ponad sto lat po powstaniu dramatu Czechowa młoda autorka pokazuje, że przez ten czas ludzie się nie zmienili. Ale rodzinę Czekajów od rodziny Prozorowów różni przede wszystkim sposób wyrażania swoich myśli. Prozorowowie mówią językiem inteligencji, pełnymi zdaniem, pięknymi nawet w kamuflowaniu swoich myśli. Tymczasem rodzeństwo Czekajów mówi do siebie półsłówkami, monosylabami, częściej pytaniami niż odpowiedziami. Żaden z bohaterów nie potrafi swojej myśli wypowiedzieć do końca. Ich chropowaty język szalenie utrudnia porozumienie, a świadome odcinanie się od słuchania drugiej osoby – przekreśla możliwość porozumienia. Ważniejsze od słów i uczuć okazuje się hamowanie emocji i duszenie rozmowy. Choć każde z dzieci jest ciekawe, dlatego ojciec pozostawił ich w dzieciństwie, skazując tym samym na biedę, brak miłości i wzorca osobowego, to gdy on już jest gotowy, aby wszystko wyjaśnić, nikt nie chce go słuchać.

Smutna to sztuka, a przecież bardzo prawdziwa. Z błyskiem nadziei w zakończeniu.

Iwona Kusiak nadała swoim bohaterom znaczące nazwisko „Czekaj”, nawet wybite w tytule, jakby zalecała ciągłość tej postawy. A przecież ich szczęście zależy właśnie od przewyciężenia tego wiecznego czekania, od działania, od chęci do otwarcia się, od zobaczenia drugiego człowieka.

ALERGIA

Scena trzecia

Olo zbiega z góry ubrany w kurtkę, pakuje do plecaka jakieś rzeczy.

Hanka: Olo! Olo, poczekaj!

Olo: Zostaw mnie.

Hanka: Muszę ci coś powiedzieć.

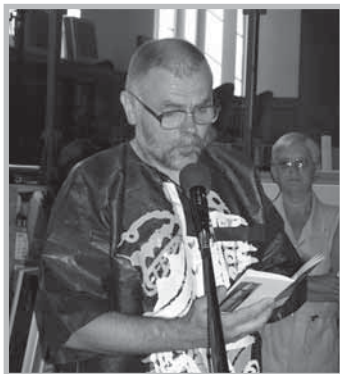
Olo: Co?! Że nic ci nie jest? Że ta cała bujda z uczuleniem na jedzenie, te wszystkie bzdury...!

Hanka: Wiem, że masz siostrę. To znaczy, wierzę, że masz

siostrę.
 Olo: Jasne.
 Hanka: Jeśli to jest prawda, to ja ci wierzę.
 Olo: Co to jest prawda?
 Hanka: To, co jest. To, co się wydarzyło.
 Olo: Wracaliśmy z imprezy... ledwo trzymaliśmy się na nogach. Aśka, nasza przyjaciółka, spała z tyłu...
 Hanka: Nie musisz tego opowiadać.
 Olo: Inka śmiała się, zabierała mi kierownicę. Chciała sama prowadzić.
 Hanka: Cicho.
 Olo: Nie było jej na pogrzebie Aśki. Nikt już jej nie widział. Ma na imię Janina. Po babci. Od kiedy pamiętam, mówimy na nią Inka.
 Hanka: Musisz ją bardzo kochać.
 Olo: Nie wiem, jak bez niej sobie poradzę.
Pauza.
 Maga: Proszę szanownych państwa. Czy ktoś ze mną wypije? Olo, chcę się z tobą stuknąć kieliszkiem. No, bierz. Hej, to nie stypa, tylko urodziny!
 Jurek: Jeszcze raz... wszystkie dobrego.
 Maga: Dwadzieścia pięć lat... ćwierćwiecze. Jak to zleciało?
 Olo: Twoje zdrowie.
 Maga: No, nareszcie możemy zacząć świętować.
 Hanka: Mój sernik z lodami i bitą śmietaną. Wszystko się roztopiło.
 Jurek: Będziemy jeść palcami. To nawet lepiej smakuje.
 Maga: Żadnych świeczek. Ani toastów.
Siadają przy stole. Jurek otwiera szampana, omija kieliszek Hanki.
 Hanka: Ja też poproszę.
 Jurek: Mago, kochanie...
 Maga: Jestem Magda
 Jurek: Magdusiu, spełnienia marzeń.
 Maga: Miało już nie być toastów.
Hanka nakłada wszystkim tort (ciasto). Zaczynają jeść.
 Olo: Mam nadzieję, że autobusy jeszcze tu jeżdżą.
 Jurek: Dam ci potem spis PKS-ów.
 Olo: Wyjeżdżam rano. Jak najwcześniej.
 Maga: Haniu, przeszedł samą siebie.
 Jurek: Palce lizać. Pyszności.
 Hanka: (również je) Cieszę się, że wam smakuje.
Pauza.
 Olo: To znaczy, że jesteś zupełnie zdrowa?
 Maga: Tego nikt nie wie na pewno.
 Olo: Po co tu siedzisz?
 Maga: Mogę być chora! Mogę zachorować jutro, pojutrze, za tydzień! Mogę umrzeć w najszczęśliwszym dniu swojego życia!
 Ola: Po co ta cała szopka? To jakiś kawał? Ukryta kamera? Nowe reality show? Płacą wam za to? Jesteście pieprzonymi aktorami?
 Maga: Tak, gram główną rolę w serialu „Tragedia Magi”.
 Olo: Dziewczyno, uciekaj stąd. Wynośmy się.
 Maga: Dolać ci jeszcze?
 Olo: Czy ktoś mi wytłumaczy, co się tutaj dzieje?
 Maga: Co? Wszyscy gramy. Różnica jest taka, że ja wybieram swoją rolę, rozumiesz? Nikt mnie nie zaskoczy na końcu. Ja wybieram i koniec, i dramat. Zanim stanę się nagle ofiarą. Rozumiesz?
 Olo: Co wy możecie o tym wiedzieć?

Maga: To samo, co ty o nas.
 Olo: Tchórze. Zaszrani tchórze. Małe dzieci, po pierwszym grzmocie schowały się pod stołem. Nie ma żadnej burzy.
 Maga: Dla nas jest ciągle.
 Olo: Po co to robicie? Siedzicie w zamknięciu, opowiadacie bzdury o nieistniejących tragediach? Konkurs na dramat? Brakuje wam tego: bólu, adrenaliny? Chcecie to poczuć?
 Maga: Mamy prawo do swojej tragedii.
 Olo: Gównno! Nikt nie ma takiego prawa! To się zdarza albo nie! Można się z tym pogodzić i żyć dalej, albo uciekać, jak moja... To ja mam spierdolonę życie, nie wy. Ja i moja siostra. Nigdy nie byliście na dnie, nie wiecie co to znaczy.
 Maga: Każdy ma swoje dno.
 Olo: Ale wasze jest tutaj. W mózgu. I tylko tutaj.
 Maga: Szampana?
 Olo: Uciekajcie stąd! Zginiecie tutaj! Zwariujecie! Tutaj nic nie ma! Tu nie ma życia!
 Maga: A co jest tam?! Tak bardzo chcesz wracać? Co tam na ciebie czeka? Kto?!
 Olo: Musicie... musimy coś robić... walczyć...
 Maga: Ja nie chcę! Już to przerabiałam! Tam też nic nie ma! Nie można się niczym cieszyć, nie można się do niczego przywiązać, nikogo pokochać. Coraz pełniejsze cmentarze, coraz więcej cmentarzy, cmentarze tętniące życiem, bardziej zaludnione niż supermarkety... jak kogoś pokochasz, to on musi umrzeć... albo cię zostawi, albo uderzy, albo skrzywdzi, albo nie zrobi nic i to będzie jeszcze gorsze, będzie nikim i trzeba go będzie zniechęcić, zniechęcić wszystkich, siebie, rodziców, przyjaciół, każdego... Nie można mieć psa, bo zdechnie, nie można mieć kota, chomika, świnki, papużki, nie można, bo też cierpią i też zdychają. Zdychają szybciej niż ludzie, ludzie zdychają inaczej. Nie można się cieszyć z pracy, bo cię zwolnią, nie można się cieszyć z samochodu, bo ci go ukradną... Nie można siedzieć w domu, bo może być wybuch gazu... Nie można być na zewnątrz, bo cię przypadkiem postrzela albo trafi cię piorun... Nie można niczego dotykać, bo się zarazisz... Nie można jeździć metrem, bo ktoś podłożył bombę. Nie można lecieć samolotem, bo spadnie i się rozbije, albo porwą go terroryści. Nie można jechać pociągiem ani samochodem... codziennie tyle osób ginie w wypadkach, nie można ich policzyć... nie można prowadzić, bo nawet jak dobrze prowadzisz, to ktoś inny jedzie po śmierć i skończysz pod jakimś tirem... nie można chodzić po jezdni, bo ktoś cię potrąci... nie można spać, bo ktoś cię udusi we śnie albo sam się udusisz... to co, że badania wyszły dobre, badania kłamia, nie można wierzyć badaniom, każdy ma w sobie jakiegoś raka, raka który zabija, którego nie można wykryć, który tylko czeka, aż wszystko będzie dobrze, ale nigdy nie jest dobrze... rak piersi, rak mózgu, rak kości, rak krwi, rak jelit, rak wątroby, rak płuc, nawet jak nie paliłeś nigdy w życiu, raka to nie interesuje, rak skóry, rak trzustki, rak krtani... nie można nie mieć raka, każdy ma swojego. Każdy ma jakąś chorobę, która chce cię zabić, każdego dnia, o każdej porze... Każdy ma jakąś alergię, która go zabije, wcześniej czy później. Wcześniej czy później coś cię zabije. Lepiej wcześniej. Lepiej wcześniej. Lepiej wcześniej.

Maga wypija jednym haustem zawartość kieliszka. Cisza. Nagle Hanka zaczyna kaszleć, potem dusić się. Trzyma się za gardło. Pada na ziemię, pociąga za sobą talerze, szklanki. Dostaje drgawek. Wszyscy krzyczą, rzucają się jej na pomoc, tylko Maga stoi nieruchomo.



Poezja zamiast malarstwa?

Otwarcie ostatniej wystawy Wojciecha Plusta (9 czerwca br. w Bibliotece PWSZ) połączone było z promocją pierwszego tomu wierszy tego znanego go-

rzowskiego malarza. Nadał mu tytuł „Obrazy otwieram...”, tak uzasadniony w pierwszym wierszu:

*Obrazy otwieram
niejedną rozmową
przy sklepie, w domu (...)*

Wojciech Plust jest przede wszystkim artystą koloru, w latach poprzednich ekspansywnego, ostro atakującego odbiorcę, w ostatnich latach bardziej stonowanego, ściszonego. Nie uprawia malarstwa przedstawiającego, jego obrazy to raczej zapis emocji, stanów psychicznych, co najwyżej zrodzonych z obserwacji. W przytoczonym wierszu autor rozszerza pole inspiracji artystycznej i przyznaje, że źródłem emocji są dla niego także rozmowy codzienne.

Ale nie odniesienia do malarstwa są głównym tematem tego tomu, a tym samym przyczyną powstania wierszy. Wojciech Plust wszedł w dojrzały wiek męski, w którym nie emocje, a refleksje stają się najważniejsze. Wyrażenie ich poprzez malarstwo, poprzez plastykę w ogóle – jak można sądzić – artyście nie wystarcza. Słowo okazuje się bardziej pojemne, a metafora celniejsza niż pociągnięcie pędzlem. Miejsce na ziemi, relacje z rodzicami i z dziećmi, młodzieńcze nadzieje i dojrzałe złudzenia, zachwyt dla urody kobiety, szacunek dla jej rozumu, przemijanie, coraz więcej ciszy – to tematy, a jednocześnie refleksje ogarniające autora. Można więc czytać ten pierwszy tom Wojciecha Plusta jako ich intymny pamiętnik.

Do tej pory Wojciech Plust obok malarstwa prezentował swoje zdolności wokalne, teraz także literackie. Na razie wiemy, że pieśni i arie śpiewane głębokim basem są ciekawym urozmaicheniem jego wystaw. Czy słowo okaże się dla malarza co najmniej tak samo nośne jak farba, czas pokaże. (KK)



* * *

Zasypiał dzień
i pozostawiał swoje światła
jakby w darze
dla nas
możemy tęsknić...

Zbocze moreny
przyjęło zapowiedź nocy
ze zrozumieniem
choć trawy wszelkie
w pamięci miały
poprzednie godziny...

Ze zdziwieniem
niedowierzaniem
ku sobie
ku światłu
spoglądają

* * *

Obrazy otwieram
niejedną rozmową
przy sklepie
w domu
co między nami
się stała
wiarą się podpieram
i znajduję nie tam
gdzie ich miejsce
Gdzie sny
gdzie jawa.
gdzie ty
i gdzie ona
obrazy otwieram...

* * *

Zaczynałem obraz
wiele razy
zaczynałem w obrazie
wiele razy
zaczynam i tym razem
Nie nazywam farb obrazami
nie maluję farbami
zbliżam się do siebie
podpisami
znaki do śladów
a ślady?
gdzie wiodą one...

* * *

Pewność bracie niepewna
niepewność wiadoma
krok po kroku
i skok w ciepłą ciemność
może nie głupota
może zaufanie ...

* * *

Przed obrazem stanąłem
jak na randce z dziewczyną
Pierwsze słowa utknęły
niby kamień w przełyku
z nadmiaru chęci
strumienia myśli
porządkować nie sposób
z planów nici splątane
parę bąknięć potknięć
niemoc prawdziwa...
Dopiero dotyk o ciało płótna
namiętności jak chorągwie
rozwiały obawy
buchnęły krwią czerwienie
wylały się żółcienie
kreska talii
namiętne kształty obwodzi
już nie ma czasu
płasów skutecznie
Mijały godziny
jakby ich nie było
rozstanie po spełnieniu
jutro znów
to samo

* * *

Zapach otworzył pejzaże
których oblicze
uchyliły kolejne
obrazy z dymami
ze smakiem kojarzone
dorosłość i dzieciństwo
rozdzielne niepodzielne
stały się skakanką wyliczanką
grą w zielone
Ulicami, na których
czasu zmęczonego nie widać
wchodzę do swojego domu
który na dwóch nogach
niekiedy ledwie się trzyma
i chwilami nie wiem
do którego obrazu mi bliżej ...

* * *

Rodzina siedzimy przy stole
jadła ubywa
pieniądze niedojrzałe
chcę zrywać
siedzimy przy sobie
a każdy z osobna

dla siebie o sobie
i domy przy domach
i ludzie w swoich pokojach

* * *

Matka
w obie strony
miłość niejednakowa
widzę siedzi siwiutka
odwrócona plecami do siebie
mimo swojego wieku nie ma lat
nigdy jej nie ciężko

Opadają płatki z jej kalendarza
chciałbym je zebrać...

- Po co synku?
nie trzeba...
Jadłeś już dzisiaj?
To może herbaty?
Taka jestem szczęśliwa
że macie rodziny
od jednego ślubu...

Mówi, że dziękuje Jemu
za wszystko
i że w Jego dłoni jest...



* * *

Gdzie języka nie ma
jeszcze jest poezja
Sted kiedyś powiedział
wszystko jest poezja
Najmniej ona sama
błysk geniuszu
w obrazku do lat dwunastu
potem tylko próby
błędy próby
czy jest ktoś obok
kto trzyma za rękę?
ale nie ma kiedy się rozglądam
zapachem pamięci
kołem ratunkowym
prawie namacalnym
za chwilę z dymami
niekonkretnych niejasnych
zawiodłych
przeplynie...

Przysłał mi ostatnio kolejny 6. numer swojego pisma „Komunikaty 2” przyjacieli-poeta z Zielonej Góry Eugeniusz Kurzawa. Podziwiam cię, Eugeniuszu, za upór i konsekwencję w przywracaniu normalności w sferach życia duchowego naszego narodu. (I.K.S.)

Raport z życia poety w sobie Eugeniusz Kurzawa

Przysłał mi ostatnie swe książki Krzysztof Gąsiorowski. Pomyślałem w pewnym momencie, komentując w myślach jego dydakcje na tomikach oraz ciepły list, że moje bawienie się w pismo o nikłym zasięgu jest tworzeniem takiego raportu z życia poety w sobie. Co zresztą tak jakoś ująłem w jednym z wierszy. Jest potrzebą wynikającą z poczucia pewnej samotności wśród ludzi i niemości, którą przyniósł, a może raczej uświadomił nam XXI wiek.

Czytam Krasińskiego. Jakby o sobie, „Bóg mi odmówił (użyłbym tu: poskąpił) tej anielskiej miary...”. Ale dalej już w miarę optymistycznie: „Ach w sercu moim są niebiańskie dźwięki// Lecz nim ust dojdą łamią się na dwoje// Ludzie usłyszą tylko twarde szczęki// Ja dniem i nocą dyszę serce moje”. Czy to znaczy, że poezja ma szansę, mimo iż „Ludzie nie słyszą jej w godowych salach”? Problem w tym, że jako uczestnik życia społecznego, jako jedno z kółek w mechanizmie środków masowego przekazu nie wierzę w skuteczność dotarcia, także swego, do tzw. mas. A więc nie wierzę w skuteczność poezji? Nie wierzę w skuteczność słowa, wszystko jedno jakiego?

Niedawno przegadałem część popołudnia ze znajomymi na temat: czy to, co robię (m.in. pisemko) jest świadomym wyborem, czytając: odcięciem się od uciążliwości świata, czy raczej swobodą decydowania o sobie. A może jednak prostym, zwykłym lenistwem? Chodziło też o to, że nie chce mi się (już?) spotykać z pewnymi ludźmi i międląc tematów, ale że wówczas pozostaję sam z sobą. Czyli bez możliwości dyskusji, bez kontrowersji, bez opozycji. Nie rozwijam się - wg mnie. Nie doszliśmy do jednomyślnej konkluzji.

Coraz częściej pozwalam myślom odpływać. Wierszom odpływać. Zwyczajnie nie chce mi się notować, pamiętać. Dlaczego? Nie wiem. Właśnie. Czy to już lenistwo? Czy niechęć uczestniczenia w życiu społecznym? Wygoda? Decyzja, że tak powinno być? A przecież są ludzie, którym się chce. Tworzą. Rozwijają się. Wiem, nie rozwijam się. Opisałem to niedawno (stosunkowo niedawno, to coraz częściej występująca kategoria) w wierszu. Dlaczego się nie chce? Biblioteka książek przeczytanych, do których nie ma po co wracać. Może je sprzedać?

Z samotności wydaję pisemko. Po nic. Z rozpaczy?

Przezlas

Przezlas: drzewa i sucha ściółka
przechodzi pod butem w proch.
Nie jest nawet śladem biologicznym,
wyłącznie dopełnieniem definicji.
Obok: ścięte drzewa (pachną najlepiej),
zawsze te same wgniecenia w ustach.
Ślad za śladem w kierunku chaty
parabolicznie rozwija wachlarze.
W kominku trzaska drewno,
na zewnątrz pioruny,
w środku kieliszek, gra echo,
coś zwisa z sufitu
i ostatni oddech
łapie na dystychu.

Po życie

Leszkowi Żulińskiemu

Poezja to dramat:
żywi gadają od rzeczy,
umarli nigdy.

Żywi kochają na śmierć,
umarli za życia.
Ptaki z powołania lecą na południe.

W dole stado poetów
pije w lesie nad jeziorem.
Wojacek odleciał, Stachura.
Przemysk i Sadowska
szykują się do lotu.

Cała reszta po chrzest od alpagi
węduje do jeziora.
Po chwili ktoś krzyczy:
„Bruno, jedziemy”.
Bruno nie jedzie. Popłynął na południe.

*Pociąg Warszawa – Gorzów Wlkp.
21.06.2007.*

Nieczynne do zamknięcia

*Czytać w półmroku, pisać w pełnym świetle –
albo odwrotnie – Karol Maliszewski.*

Rękopisy są na wymarciu.
Ostatni krawiec w mieście
nie jest nieczynny.
Jest zamknięty.

Przez okno zakładu wisi właściciel.
Nie ufaj mi, jeśli nie będę
śmiał się z tobą, słyszalnie.

Lato stygnie, odchodzisz
z garścią piachu

w rękach. Jeszcze się nie nauczyliśmy,
już przestajemy pamiętać.

W tym roku wszystkie
dni były krótsze
od najdłuższego w roku

Pociąg Warszawa – Gorzów Wlkp. 21.06.2007

Asfalt

K.L. i N.

Cokolwiek robisz.
Ktoś gdzieś ginie w wypadku,
gwałcona kobieta krzyczy lub w ciszy
modli się o śmierć,
a noworodek umiera z głodu,
albo rękoma pijanego ojca
łamię rączki o ścianę.
To oczywiste.

Gdziekolwiek jesteś.
Ktoś to miejsce kocha,
bo kogoś w nim spotkał lub coś poznał.
Ktoś inny na dźwięk nazwy
trzęsie się i przypomina
najgorsze wspomnienia.

Dla kogoś jest to cel,
dla kogoś powód do ucieczki.
To oczywiste.

Kimkolwiek jesteś.
Ktoś cię kocha, ktoś nienawidzi,
gdzieś tęsknią lub nie chcą znać.
dla kogoś twoje zdjęcie jest czymś,
co zalega w szafie lub powoduje
szybsze bicie serca.

To oczywiste.

Cokolwiek ty,
bycie jest jak asfalt;
czarne i równe, jak szkło.
Prosta droga,
bo to wszystko jest proste
i oczywiste. To nic, że czasem
zamykasz oczy
i zjeżdżasz na lewy pas
lub z przyzwyczajenia
poprawiasz lusterko.

Częstochowa 15.04.2007

Linokoczek

K.L.

Można by sen, praca, zwyczajność.
Na równe ośmiogodzinne,
bo przecież większość.

Malowane ptaki

siadają na oknach – blisko.
Są tylko spokojne lub dzikie.

Można by przyzwyczajenie, strach,
niskie poczucie wartości.
Może coś, kiedyś, zwyczajność.

Malowane ptaki chwieją się na linii.
Częściej zawija się ona wokół szyi,
niż jest nicią Ariadny.

Można by nie wierzyć, zrezygno-
wać,
cuda nie istnieją. Szerokim mostem
pójść gdziekolwiek.

Kończymy zazwyczaj na myślach
o tym, że jesteśmy inni.
A jesteśmy nikim. Zazwyczaj.

Częstochowa 18.04.2007

* * *

Szkwał w ciepłym mieście.
Ulice wykrzywiają się w rzekę,
na ulicy stoi chłopak.

Ma dziesięć lat, białą koszulę,
skarpetki do kolan i pochodzenie.
Żydowskie. Za miesiąc na Majdanie

piece zaczną eksplodować
z przegrzania,
listy nie dojdą do adresatów.
Zdążą jeszcze ogolić Henia,
jego ojcu zabrać wspólne zdjęcia.

Upał stygnie. Łożyska
prowadzące do pieca
znajdują się na końcu tras wycieczek.
Gdzieś w magazynie spod betonu
trawa zarasta kruczoczarne włosy.

Ciąg dalszy nastąpi

Ech, kiedy się miało
dwadzieścia trzy lata;
wódka jeszcze tak nie szkodziła,
papierosy były jakieś dłuższe.

W wierszach odkrywało się świat,
teraz przykrywa się nimi

śmierć bliskich,
rachunki lekarzy, chwilowe, jeszcze,
zaniki pamięci.

Teraz już wszystko jest
przyzwyczajeniem. Tylko wzywianie
zza między się rodzi.
I kolejni zdobywcy świata.

Edward Dębicki honorowym obywatelem Gorzowa Wlkp.

15 maja 2007 r. Rada Miejska Gorzowa przyznała tytuł honorowego obywatela miasta Edwardowi Dębickiemu, muzykowi i literatowi. Najbardziej znany jest jako twórca w 1953 r. zespołu „Terno”, którego kierownikiem artystycznym jest do dziś. Zastąpił się także jako inicjator i organizator Międzynarodowych Spotkań Zespołów Cygańskich „Romane Dyvesa”. Jego dorobek literacki nie jest duży, ale także miał znaczący wpływ na miejsce Edwarda Dębickiego w kulturze nie tylko miasta, ale i kraju.



Twórczość literacką Edward Dębicki rozpoczął od tekstów do swoich piosenek w języku romskim. Następny krok – to pisanie wierszy.

Wydał książki:

* „Teł nango Bouben - Pod gołym niebem”, wiersze w wersji dwujęzycznej (na j. polski tłumaczył Jerzy Ficowski), Szczecin 1993, Wydawnictwo „Albatros”.

* „Ptak umarłych” – proza wspomnieniowa, ilustr. Zbigniew Olchowik, Warszawa 2004, Wydawnictwo Biblioteki Narodowej, wydawca Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej. Książka uzyskała Honorowy Lubuski Wawrzyn Literacki i uznana została za najładniej wydaną w 2004 r. książkę lubuskiego autora. W 2007 r. ukazało się jej drugie wydanie nieco poszerzone.

Wiersze Edwarda Dębickiego zostały przetłumaczone na język niemiecki przez Karin Wolff i opublikowane w piśmie „Prom”, natomiast w przygotowaniu są przekłady „Ptaka umarłych” na niemiecki i szwedzki.

We wstępie do tomu „Pod gołym niebem” Jerzy Ficowski napisał: *Jest w tych wierszach czar, który umie wzruszać, przywracać blask wygasłym cygańskim ogniskom, ożywiać barwy przeszłości. Niech więc starym wędrownym zwyczajem wyruszą te słowa w świat - śladami dawnych kolorowych taborów – do cygańskich i nie cygańskich rodaków poety.*

Nagroda dla Karin Wolff

Piękno tworzą nieliczni

SŁOWAMI Johanna W. Goethego „Piękno tworzą nieliczni a potrzebuje go wielu” wicewojewoda lubuski Ireneusz Madej gratulował Karin Wolff, wybitnej tłumaczce literatury polskiej na język niemiecki, mieszkance Frankfurtu nad Odrą, ponownego wyróżnienia Nagrodą Specjalną Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Uroczystość odbyła się 27 kwietnia 2007 r. w Warszawie. Wniosek o przyznanie Nagrody złożyła Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Gorzowie Wlkp. Nagrodę przyznano „w uznaniu nieocenionych zasług dla kultury polskiej oraz kulturowej integracji niemiecko – polskiej” – czytamy w uzasadnieniu.



Od pięciu lat, każdego roku jesienią, Karin Wolff organizuje we Frankfurcie nad Odrą cykl spotkań nazwanych „Salon Literatury Polskiej”. Jest tłumaczką ponad osiemdziesięciu tomów, które dla niemieckich czytelników były faktycznymi odkryciami, w tym „Pianisty” Wł. Szpilmana, „Hioba 43. Requiem dla powstańców warszawskiego getta”, opowiadań Romana Brandstaettera, antologii „Polskie Boże Narodzenie”, wierszy ks. Jana Twardowskiego, Jerzego Ficowskiego, Papuszy, „Mszy za miasto Arras” Andrzeja Szczypiorskiego, „Madame” Antoniego Libery, „Terminalu” Marka Bieńczyka, „Wspomnień wojennych” Karoliny hr. Lanckorońskiej czy powieści „Wiry” Henryka Sienkiewicza. W jej dorobku są również przekłady książek gorzowskich: Kazimierza Furmana, Edwarda Dębickiego, Karola Parno-Gierlińskiego i Romany Kaszczyk.

Droga Karin Wolff do zawodu tłumacza była pełna dramatyzmu. Przez lata działała w enerdowskiej opozycji demokratycznej. Maturę – z wyróżnieniem – zdała w wieku 17 lat. Wskutek interwencji tajnej policji politycznej STASI nie mogła studiować. Pracowała w fabryce mebli, by – jak to wówczas mówiono – przejść resocjalizację w ramach wychowania przez klasę robotniczą. Po tej „resocjalizacji” została delegowana na studia indologiczne do Lipska, jednak władze ostatecznie uniemożliwiły jej ich podjęcie. Zaczęła więc studiować teologię protestancką w Berlinie (Sprachenkonvikt), którą ukończyła egzaminem magisterskim. Jednak skutki owej „resocjalizacji” dały o sobie znać i po studiach ciężko zapadła na zdrowiu. Podczas długiego pobytu w szpitalu uczyła się samodzielnie języka polskiego. Po wyjściu ze szpitala zdała w Berlinie maturę z języka polskiego. W tym czasie tłumaczyła pierwsze książki dla dzieci.

Zbiór „Na granicy życia i śmierci” Krystyny Wituskiej opublikowany przez Wydawnictwo Ewangelickie EVA w Berlinie, był pierwszą książką, przełożoną przez Karin Wolff na niemiecki, przeznaczoną dla czytelników dorosłych. Listy i grypsy Wituskiej, żołnierza wywiadu ZWZ-AK, skazanej przez hitlerowski sąd wojenny na karę śmierci, pisane w celi śmierci w Halle, gdzie przez ponad rok czekała na wykonanie wyroku, sprowadziły Karin Wolff do Polski, do redakcji miesięcznika „Polska-Zachód”, z którą przez wiele lat półlegalnie, za tajemną wiedzą Wydawnictwa EVA, współpracowała, nawiązując liczne przyjaźnie z wybitnymi postaciami z kręgu twórczości i polskiej opozycji demokratycznej. Współpraca zakończyła się wraz z nastaniem stanu wojennego. – po zjednoczeniu Niemiec Wydawnictwo EVA przestało istnieć. Karin Wolff zaczęła pracować jako „tłumacz niezależny”. Wrażliwa na ludzką krzywdę, na nietolerancję, poszukująca autorów z kręgu mniejszości narodowych zafascynowała się literaturą żydowską i cygańską. Za popularyzację kultury cygańskiej w Niemczech otrzymała godność Członka Honorowego Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Bronisławy Wajs – Papuszy w Gorzowie Wlkp.

Spotkanie w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego stało się okazją do podsumowania dorobku Karin Wolff, omówienia najbliższych planów i nękających ją problemów. Podczas rozmowy mówiono, że bezpośrednie relacje kulturowe na pograniczu, z roku na rok jakby słabną, że mniej jest autentycznych, partnerskich kontaktów między organizacjami społecznymi, słabnie dialog. Wygląda na to, „że poznaliśmy się i możemy się rozjeść” – tak skomentował kilkuletnią, bardzo intensywną współpracę społeczności pogranicza, jeden z uczestników spotkania. Obecnie Karin Wolff pracuje nad przekładem wspomnień Edwarda Dębickiego pt. „Ptak umarłych” i powieścią Gabrieli Zapolskiej „Sezonowa miłość”.

Leszek Bończuk

PISARZE NA 750. JUBILEUSZ GORZOWA

Pisarze gorzowscy chcąc się wpisać do świętowania 750 urodzin Gorzowa Wielkopolskiego, w sobotę 30 czerwca wzięli udział w kiermaszu książki gorzowskiej umiejscowionym w wylocie alei Parku Róż w ul. Sikorskiego. Inicjatorką Kiermaszu była poetka Barbara Trawińska, która z pomocą pracowników WiMBP doprowadziła do sympatycznego zdarzenia, które jak się okazało bardziej było spotkaniem towarzyskim autorów ze sobą niż z czytelnikami. Gorzowianie w tym czasie tłumnie bawili się na pikniku brandenburskim lub spacerowali nadwarciańskim bulwarem. Tam zainteresowaniem naszymi wydawnictwami byłoby na pewno większe, ale nikt z organizatorów pikniku nie zaproponował pisarzom miejsca na bulwarze. A jeden granatowy namiot z długim stołem był wolny od niemieckich ogórków i propagandy – jakby specjalnie na nas czekał. Także na albumy, które wydano na cześć Urodzin Miasta ...



Od lewej w głębi: Marek Kierus i Ferdynand Głodzik, na pierwszym planie: Karol Parno-Gierkliński, Barbara Trawińska i Irena Zielińska



Od lewej: Olreneusz Krzysztof Szmidt, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska



Od lewej: Stanisława Plewińska, Władysław Łazuka, Joanna Ziębińska-Kurek, w głębi stoisko taniej książki WiMBP

Książka poetycka roku

W ramach XXX Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, który odbędzie się w Poznaniu w dniach 6-9 listopada br., ogłoszony zostanie wybór Poetyckiej Książki Roku. Pozycja będzie uhonorowana także nagrodą pieniężną.

Zarząd Oddziału ZLP w Poznaniu, jako organizator Listopada, zachęca autorów do nadsyłania swoich książek, jako zgłoszeń do konkursu. Zbiory wierszy należy przesyłać do **30 września br.** na adres: ZLP oddział w Poznaniu, 61-705 Poznań, ul. Noskowskiego 24.

Konkurs na wiersz i esej

Górnośląskie Towarzystwo Literackie wraz z miesięcznikiem „Śląsk” ogłaszają ogólnopolski konkurs literacki w dwóch kategoriach: esej literacki i utwór poetycki. Motto ideowe konkursu stanowi sześć ostatnich linijek wiersza Tadeusza Różewicza, który tak brzmi w całości:

oblicze ojczyzny

ojczyzna to kraj dzieciństwa
miejsce urodzenia
to jest ta mała najbliższa
ojczyzna

miasto miasteczko wieś
ulica dom podwórko
pierwsza miłość
las na horyzoncie
groby

w dzieciństwie poznaje się
kwiaty zioła zboża
zwierzęta
pola łąki
słowa owoce

ojczyzna się śmieje

na początku ojczyzna
jest blisko
na wyciągnięcie ręki

dopiero później rośnie
krwawi
i boli

W konkursie eseistycznym I nagroda - 1400 zł, II - 1200, III - 1000, wyróżnienie 800 zł.

W konkursie poetyckim I nagroda 700 zł, II - 600, III - 500, wyróżnienie 400 zł.

Prace należy przysyłać w trzech egz. **do 10 listopada br.** pod adresem: GTL, 40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, z dopiskiem „Konkurs literacki”. Blizsze informacje: tel. 0 32 206 82 71.

We wszystkich konkursach obowiązuje zasada, że prace należy opatrzyć godłem powtórzonym na zaklejonej kopercie zawierającej imię, nazwisko, adres, telefon i e-mail autora. Utwory zgłoszone do konkursu nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych konkursach. Więcej informacji o konkursach literackich na stronie internetowej Związku Literatów Polskich: www.literatura.waw.pl

XIII Ogólnopolski Konkurs im. Zdzisława Morawskiego

Konkurs rozgrywany jest w trzech kategoriach: poezja (do trzech utworów), proza (do trzech utworów) i słuchowisko. Nagrody za poezję i prozę za I miejsce 2 tys. zł., słuchowisko (tylko jedna nagroda) – 1 tys. zł. Za II miejsca – 1500 zł, III – 1000 zł, wyróżnienia po 500 zł. Prace w czterech egzemplarzach maszynopisu należy nadsyłać do 15 lipca na adres: Klub Myśli Twórczej „Lamus”, ul. Sikorskiego 5, 66-400 Gorzów Wlkp.

II Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Edwarda Stachury

Na konkurs należy wysłać zestaw trzech wierszy nigdzie niepublikowanych Termin: 16 lipca 2006 r. Wręczenie nagród nastąpi w dniu 22 lipca. Organizatorzy przewidują nagrodę główną „Laur Barda” oraz trzy wyróżnienia. Prace nadsyłać należy na adres: I Konkurs Poetycki im. Edwarda Stachury „O Laur Barda” Bardo 10, 62 – 300 Września. Dodatkowe informacje pod nr tel. 603 165 255.

XII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Malowanie słowem”

W konkursie mogą wziąć udział wszyscy, którzy ukończyli 15 rok życia, ale autor może nadesłać tylko jeden zestaw od 3 do 5 wierszy w trzech czytelnym egzemplarzach. Tematyka prac jest dowolna. Zestaw należy nadesłać do 31 lipca na adres: Szczeciński Ośrodek Kultury, ul. Wyszyńskiego 65, 78 – 400 Szczecinek z dopiskiem na kopercie „Malowanie Słowem”. Nagrody pieniężne: I miejsce – 1000 zł, II miejsce – 600 zł, III miejsce – 400 zł, nagroda specjalna dla Poety Regionu – 400 zł oraz wyróżnienia. Laureaci zostaną zaproszeni na imprezę podsumowującą w dniu 4. XI. 2007 r. i zobowiązani są do osobistego odbioru nagród. Informacje: tel. 0 94 712-83-02, e-mail: krystyna-mazur1@wp.pl

XVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki „Małe ojczyzny”

Krótkie (do 10 stron maszynopisu) opowiadania, nowele, eseje o małych ojczyznach na pograniczu kultur i regionów ze szczególnym uwzględnieniem walorów przyrodniczych, krajobrazowych należy nadsyłać do 31 lipca br. na adres: Gminna Biblioteka Publiczna, 64-220 Kargowa, ul. Browarna 7. Wyniki zostaną ogłoszone w początkach października podczas seminarium i spotkania literackiego „Małe ojczyzny” w Kargowej oraz nad jeziorem Linie. Dla autorów najlepszych prac przewidziano nagrody i publikacje. Bliższe informacje tel. (0-68) 352 63 68.

Turniej Jednego Wiersza „Bieszczadzkie Dusioły”

Wiersze w 4 egzemplarzach należy nadsyłać do 10 sierpnia 2007 r. na adres: Gminny Centrum Kultury i Ekologii 38-607 CISNA z dopiskiem „Bieszczadzkie Dusioły”. Oceny wierszy dokona jury w składzie: Adam Ziemiąnin, Ryszard Szociński, Małgorzata Lebda, Krzysztof Jurkiewicz. Obrady jury, finał turnieju, ogłoszenie listy laureatów i rozdanie nagród nastąpi w czasie trwania Festiwalu „Bieszczadzkie Anioły” - 19 sierpnia 2007 w Gminnym Centrum Kultury i Ekologii w Cisnej. Organizatorzy liczą, że uczestnicy konkursu zawitają do Cisnej w czasie trwania Festiwalu, a laureaci osobiście odbiorą nagrody i przeczytają wyróżnione wiersze. Więcej informacji o Festiwalu Sztuk Różnych „Bieszczadzkie Anioły” na stronie www.bieszczadzkieanioły.art.pl

Rypiński Album Poetycki

Konkurs ma charakter otwarty, jest skierowany do osób pełnoletnich. Należy nadesłać 4 wiersze w 4 egzemplarzach. Tematyka utworów dowolna, bez ograniczeń i preferencji. Adres: Miejsko-Powiatowa Biblioteka Publiczna, 87-500 Rypin, ul. Warszawska 20. Termin: do

31 sierpnia 2007 r. Rozstrzygnięcie: październik 2007 r. Przewiduje się nagrody pieniężne: I miejsce - 500 zł, II miejsce - 300 zł, III miejsce - 200 zł, ponadto okolicznościowe nagrody rzeczowe, ufundowane przez patronów i sponsorów. Dodatkowe informacje: www.biblioteka-rypin.pl

XXI Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O liść konwalii” im. Zbigniewa Herberta

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie maksimum pięciu utworów poetyckich w trzech egzemplarzach. Tematyka i forma – dowolna. Pula nagród – 6 tys. zł. Termin nadsyłania prac – 15 września 2007. Adres: Centrum Kultury „Dwór Artusa”, Rynek Staromiejski 6, 87-100 Toruń, z dopiskiem na kopercie „Konkurs Poetycki”. Rozstrzygnięcie w listopadzie 2007 r. podczas Toruńskiego Festiwalu Książki. Laureaci zostaną zaproszeni na koszt organizatorów.

VI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Reinera Marii Rilkego

Konkurs na zestaw pięciu wierszy (w trzech egzemplarzach) ma charakter otwarty, bez ograniczeń wiekowych i wymagań tematycznych. Honorowane będą tylko prace na papierze formatu A4, nadesłane do 30 września 2007 r. w formie wydruku komputerowego bądź maszynopisu Adres: Redakcja „Toposu”, ul. Czyżewskiego 12, 81-706 Sopot, z dopiskiem na kopercie „Konkurs im. R. M. Rilkego”. Jury w składzie: Wojciech Kass, Julian Kornhauser - przewodniczący, Krzysztof Kuczkowski przyniża: Poetycką Nagrodę Rilkego (3 tys. zł) oraz nie mniej niż dwie nagrody drugiego stopnia. Nagrody trzeba odebrać osobiście. Uroczyste wręczenie odbędzie się w grudniu 2007 r. podczas Festiwalu Poezji w Sopocie. Dodatkowe informacje: topos10@interia.pl

VIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Szaloma Asza

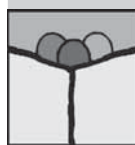
Celem konkursu prozatorskiego jest m. in. nawiązanie do ogromnego obszaru literackiego, na którym spotykają się dwie kultury – polska i żydowska. Konkurs ma charakter otwarty. Uczestnik winien nadesłać jedno opowiadanie do 10 stron maszynopisu w trzech egzemplarzach do 30 września br. na adres: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna, 99-300 Kutno, ul. Wojska Polskiego 5. Jury pod przewodnictwem Hanny Krall przyzna nagrody i wyróżnienia pieniężne. Wręczenie w grudniu 2007 podczas Festiwalu Szaloma Asza. Więcej informacji: tel. 024 355 10 12, e-mail: MBP-Kutno@plocman

Ósmy Agon Poetycki „O Wieniec Akantu”

Temat: Młodość skrzydlata: była, jest, czy będzie?

Do konkursu zostaną dopuszczone wiersze, które w sposób mniej lub bardziej bezpośredni nawiązują do tego niezmierzonego obszaru egzystencjalno-kulturowego. Od jednego do czterech utworów należy nadsyłać do 30 listopada 2007 r. na adres: Redakcja „Akant”, 85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4 Jury przyzna osiem nagród: Grand Prix – 600 zł, I nagroda – 400 zł, II nagroda – 250 zł, dwie III nagrody – po 100 zł, cztery wyróżnienia – po 50 zł Jury wybierze również utwory do publikacji w „Akancie”, a także w almanachu pokonkursowym.

PEGAZ LUBUSKI. Czasopismo Literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nac. Ireneusz K. Szmídt, z-ca red. nac. Beata P. Klary, sekretarz redakcji: Danuta Zielińska, współpraca: Grażyna Kostkiewicz, Krystyna Kamińska, Wydawca: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 095 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 095 727 70 70, 095 727 80 40 fax 095 727 70 75, zdjęcia: I.K. Szmídt, skład komputerowy Paweł Marchwiński 0 511 997 611.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Andrzej Jacek Szaflicki

Poeta i satyryk z Ostrowi Mazowieckiej, uczestnik XXV Ogólnopolskich Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Gorzowie wziął sobie za bardzo do serca propozycję ministra oświaty ograniczenia przemęczonym uczniom obowiązkowej lektury i proponuje rozszerzenie jej o kilka innych pozycji, uzasadniając swój wybór krótko i dobitnie.

Precz z lektur szkolnych!!!**CHŁOPI**

Jurny pasierb, napalony aż strach.
Stary mąż, który padł twarzą w piach.
Młoda żona, co miała go gdzieś.
Finał: runda na gównie przez wieś.

PAN WOŁODYJOWSKI

Azjata na pal nanizany.
Skośny lud na rzeź, jak barany.
Kędy przeszedł kurdupel – stos trupa.
Przywalenie Kamieńcem. I dupa.

NAD NIEMNEM

Dwór. Zaścianek. Niemen (w płynie).
Jan oświadczył się Justynie.
Marta wianka nie zrzuciła.
Anzelm zdziadział. I Mogiła.

KRZYŻACY

Pawie czuby. Sąd. Ciemnica.
Biała płachta i dziewica.
Nagie miecze. Szkopstwo harde.
Finał: wpierdol pod Grunwaldem.

POTOP

Ryży drażał przy drażału.
Częstochowa. Dup!!! Po balu.
– Co to było? – Szwed się biedzi.
Do dziś na „psim pysku” siedzi.

PAN TADEUSZ

Wiece. Waśnie. Przepychanki.
Gony. Bale. Zalecanki.
Dziś – zakała ucznia w szkole.
Tyle wierszem?!!! Ja pie*****!

LALKA

Wielka miłość pana Stacha.
Panna, która miała gacha.
Chciał gachowi Stach dać w ryło.
Wszystko się popier*****.

WESELE

Jeden tańczy, drugi pije.
Chochoł coś o sznurze wyje.
Głędzą, bredzą, jak na hajku.
Ni ch*** nie panimaju.

Ferdynand Głodzik**Ruskie wyszły**

Świat paradoksów i niespodzianek,
Zwykle dotyka bytów statecznych;
W świecie „Konsumów”, złotych firanek
Dzisiaj króluje tani bar mleczny.

Silny wiodący systemu filar
Co ważne pełnił w nim stanowisko
Ten co przed wrogiem karku nie schylał,
Dziś się zatrzymał nad kaszy miska.

Chichot historii solą jest w oku,
Kluski leniwe w gardle są ością,
Barowe dania zbijają z tropu
I irytują swoją mlecznością.

Niedawny sierżant barem dowodzi;
Czuwa nad zupą, co drażni zmysły:
Jajka się smażą, kompot się chłodzi,
Gołąbków nie ma, ruskie już wyszły.

Trzeba współczesnym dotrzymać kroku,
Nim pozostanie z nas miątkie próchno;
Gdy się skończyła walka o pokój,
Najwyższa pora zająć się kuchnią.

Jacek Lauda

Wynalazek inżyniera Żabenmajera
made by
Lauda Pictures

